

AGTIF AGENCJA TEATRALNA i FILMOWA ZAIKSU

AGENCE THÉÂTRALE ET CINÉMATOGRAPHIQUE DE LA ZAIKS

Warszawa, Chmielna 25

Telefon N° 854-23

Adres Tel.: ZAIKS-WARSZAWA

136

ODPOCZYNEK

Maria Żyżemska

Sztuka w 3-ach aktach

Egzemplarz dla reżysera i suflera. Powielony jako rękopis, bez prawa odsprzedaży. Wszelkie prawa autorskie i przekładu zastrzeżone.

Egzemplarza tego nie wolno sprzedawać, wypożyczać, kopjować, ani też puszczać w obieg w jakikolwiek inny sposób. Prawo publicznego wykonania tego utworu w Polsce można uzyskać wyłącznie w

AGENCJI TEATRALNEJ i FILMOWEJ ZAIKSU

AGTIF

Warszawa,

Tel. 854-23

Chmielna Nr. 25

Odbiorca winien niezwłocznie zwrócić egzemplarz, gdyby nie zamierzał utworu tego wystawić. Przekroczenie tych warunków stanowi naruszenie przepisów Ustawy o Prawie Autorskim z dnia 29 marca 1926 r. (Dz. U. R. P. z dnia 25.4.35 Nr. 36 poz. 260).

ODPOCZYNEK

Sztuka w 3-ach aktach

OSOBY:

Anna
Jan
Marta

Wincenty
Policjant
Wójt

Dekoracja we wszystkich trzech aktach
ta sama.



A K T I

Bawialny pokój we dworze, wygodnie, zamożnie umeblowany. Nawprost widowni drzwi od oszklonej werandy. Za oknami ciemno. Wieczór. Pokój oświetlony złotem, ciepłym światłem lamp naftowych. Po lewej stronie fotel wygodny, koło niego stolik, dalej sekretera staroświecka. Po prawej stół okrągły, kanapa, krzesła. Drzwi po lewej i po prawej stronie. Przez chwilę scena pusta, potem drzwi otwierają się. Wchodzi Anna w długim podróżnym futrze. W ręku trzyma kilka niewielkich paczek. Za nią wchodzi Wincenty. Niesie parę różnej wielkości pakunków, które ustawia na ziemi niedaleko drzwi, niektóre ostrożnie kładzie na krzesła. Stara się lekko stąpać i nie zabrudzić podłogi. Za Wincentym wchodzi do pokoju i przy drzwiach po lewej zatrzymuje się Jan. Rozgląda się po pokoju spokojnie, uważnie, nawet apatycznie. Wygląda na zmęczonego. Ubrany licho w krótką, ciepłą kurtkę sportową, grubą czapkę i wyniszczone buty. Wszedł, zatrzymał się przy drzwiach znajdujących werandowych, zdejmując czapkę i ostrożnie kładzie ją na krzesła najbliższym.

ANNA:

(do Wincentego, energicznie)

Już ja sama sprawdzę czy wszystko tu jest. A niech Wincenty z nieświeżymi bryczki Centryfugę, odda ją panu Wójcikowi i powie mu, że ja proszę żeby pan Wójcik od razu mówił, jak mu się co zepsuje w gospodarstwie. Zaraz trzeba oddawać do reparacji, a nie ostatniej chwili czekać. Naprawa trwała przeszło tydzień, a każdy dzień to strata (po chwili namysłu) ... No, niech już Wincenty nie nie mówi p. Wójcikowi, ja mu sama powiem parę słów... (zdejmuje futro, które oddaje Wincentemu. Ubrana ciemno. Na szyi staroświecki medalion na łańcuszku).

WINCENTY:

Słucham pani dziedziczki. (wychodzi)

- ANNA: (spostrzeżę Jana)
No, a z panem co? Zmarzył pan. Zimno na dworze, a dopiero połowa października.
W takiej kurtce siedzieć bez ruchu na bryczce przez całą godzinę.... (patrzy na zegarek)
Już po szóstej. Jednak przeszło godzinę jechaliliśmy. Pocztowy Wincenty zawsze żałuje. koni (śmieje się) to, że ja zmarzę, to nie, aby tylko kłaczki nie zagrzały się. Napije się pan herbaty?
- JAN: (wstrząsnął głową) Nie, chyba dziękuję. Ogrzeję się przy piecu. (spogląda w stronę płonącego kominka, ale nie rusza się).
- ANNA: A głód? Kiedy pana zobaczyłam w sklepie, kupował pan chleb i wędlinę i dotąd pan tego nie zjadł.
- JAN: Tylko chleb kupiłem, za kiełbasą zapłaciła pani.
- ANNA: No, no, nie ma o czym mówić. Widać nie miał pan przy sobie pieniędzy. Do kolacji jeszcze z godzina - zje pan coś przedtem?
- JAN: Nie chcę pani trudzić swoją osobą...
- ANNA: (naciśnięcie dzwonka)
Wcale mnie pan nie trudzi. Zresztą tam w miasteczku pomógł pan Wincentemu dźwigać paczki, za to przyjmie pan ode mnie posiłek.
- JAN: (ciągle jeszcze stoi) Dziękuję...
- MARTA: (wchodzi) Wzucham pani dziękczynki.
- ANNA: Przynieś szklankę gorącej herbaty i coś do zjedzenia.
- MARTA: Zaraz przyniosę proszę pani dziękczynki. (wychodzi)
- ANNA: Niech pan usiądzie, proszę...
- JAN: Dziękuję. (siada na krześle blisko drzwi)
- ANNA: (pochodzi do Jana i przygląda mu się)
Gdzie pał się tak wymizerować? Bezrobotny?
- JAN: Tak.
- ANNA: Oddawna?
- JAN: Mnie się wydaje, że oddawna...
- ANNA: Pan nie z tych stron. Z daleka?
- JAN: Zdaleka.

- ANNA: Ale rozmowny to pan nie jest. (śmieje się)
A ja lubię coś nie coś wiedzieć o człowieku
z którym mówię.
- JAN: (usprawiedliwiając) Trudno mi mówić o sobie.
- ANNA: Pytam, bo chciałabym panu pomóc. Odrazu,
kiedy popatrzyłam na pana w sklepie, jak li-
czył pan skrupulatnie swoje groszaki, poża-
łowałam pana bardzo...
- JAN: To były moje ostatnie pieniądze...
- ANNA: A gdzie pan miał zamiar noc spędzić?
- JAN: Nie wiem. Może gdzieś w stodole, może w lesie.
Nie jedną już noc przespałem pod sosnami.
- ANNA: (uważnie) Nawet, jak miał pan pieniądze?
- JAN: /stropiony, z wahaniem/ Tak.
- ANNA: (z lekką podejrzliwością) Unikał pan ludzi?
- JAN: (spuścił głowę, milczy)
- ANNA: (zmieniając głos)
No, niech pan odpecznie. Mnie może się pan
nie bać. Ludzie tu naszkoło mnie dobrzy.
Tutaj może pan być spokojny...
- JAN: (zakłamał się) Spokojny. Ja nie umiem być
spokojny...
- ANNA: Nie trzeba przesadzać. Jak pan odpecznie,
opowie mi pan swoje biedy. Może coś poradzimy.
- JAN: (spogląda na nią z wdzięcznością)
- ANNA: A wie pan, że w pierwszej chwili wydał mi
się pan jakiś jakby znajomy.
- JAN: (z obawą) Znajomy?
- ANNA: Ależ nie napewno. Może pan przypomina mi
kogoś. Czy gdzieś widziałam pana fotografię...
Nie umiem sobie w tej chwili uświadomić.
- JAN: (patrzy na Annę z natężeniem)
Pani mnie zna?
- ANNA: Nie, chyba nie znam pana. Tak mi się tylko
wydawało.
- JAN: (lekko) Pewnie. Skąd pani mogłaby znać
takiego obszarpańca.
- ANNA: No ten stan garderoby - nieświeży - to okres
przejściowy u pana. Nie bądzie pan chyba
wmaślał we mnie, że jest pan od urodzenia
proletariuszem.

JAN: Nie zapieram się swego inteligenckiego pochodzenia..

ANNA: I słusznie, bo na nicby to się nie zdało. Dlatego odrazu zainteresowałam się panem.

JAN: (z ironią) Inteligent w skrajnej nędzy... To nierzadki wypadek dziś.

ANNA: Niech pan nie ironizuje. Moje zainteresowanie nie powinno pana gniewać. Chcę panu przecież pomóc.

(wchodzi Marta z tacą)

ANNA: Nakryj tutaj. (wskazuje stół po prawej stronie) i niech się Władysławowa pośpieszy z kolacją. Głodna jestem.

(Marta nakrywa róg stołu serwetą, stawia szklankę z herbatą, talerz z tartinkami i wychodzi. Przedtem jednak ciekawie przygląda się Janowi)

ANNA: Proszę.

JAN: (wolno wstaje, patrzy na Annę, podchodzi do stołu. Waha się, potem siada przy stole)
A pani nie pije herbaty?

ANNA: Nie, ja nie. Poczekałam na kolację.

JAN: Nie szkodzi. Nauczyłem się ostatnio jadać sam.

(Zaczyna jeść i stara się ukryć swój głód, mimo to je łapczywie i popija herbatą)

ANNA: (Podsuwa Janowi talerz z tartinkami. Potem wyjmując z torebki notes, podchodzi do paczek pozostawionych przez Wincentego, sprawdza czy wszystko w niedziele zostało kupione. Ogląda paczki i wykreśla pozycje w notesie.)

JAN: (skończył jeść. Wstał. Skłonił się)
Dziękuję pani. Teraz już pójdę.

ANNA: (nie skończyła jeszcze sprawdzania paczek)
Teraz? Po nocy? Dokąd? We wsi nikt panu nawet drzwi nie otworzy. Boją się. Od czasu napadu na Bialikę, jednego z zamożniejszych

gospodarzy, ludzie nawet w dzień mają chaty pozamykane. Nie można im się dziwić. Bo też napad był potworny. Nad wieczorem do domu Bialików weszło okropisko niby po prośbie. Kiedy Bialik chciał mu dać parę kartofli, okrop uderzył gospodarza między oczy i ogłuszył. Z Bialikową i dziećmi dał sobie katwo radę. Okradł ich i na pożegnanie popodrzynał im gardła brzytwą, a potem zrabował coś około 100 złotych i srebrny pierścionek. Warto było, co?

(w czasie opowiadania Anna przygląda się uważnie Janowi, na którym historia napadu nie zrobiła szczególnego wrażenia. Wysłuchała jej prawie obojętnie, jakby go własne sprawy bardziej obchodziły)

- JAN: (ponuro) Widać nie jemu warto było...
- ANNA: Nie radzę panu iść teraz do wsi...
- JAN: O ile pamiętam, las tu blisko...
- ANNA: W lesie zimno. A nie może pan przyjąć gościny u mnie?
- JAN: (zdziwiony) Gościny?
- ANNA: To przecież takie proste. Zje pan kolację, przeczucie, odpocznie - a potem, zobaczymy. Może znajdę jakąś pracę dla pana...
- JAN: (rozgląda się dokoła)
A pani tu sama... ż mieszka?
- ANNA: Sama. To jest niezupełnie - mam słuźbę, psy...
- JAN: A z bliskich - nikogo?
- ANNA: Nikogo.
- JAN: (refleksyjnie) Czasami może lepiej nie mieć nikogo...
- ANNA: Chyba nie. Trzeba mieć kogoś blisko siebie, żeby było z kimś pogadać i kogoś chociaż - lubić.
- JAN: A pani nie ma?
- ANNA: Nie mam. Mój mój umarł ostro lata temu...
- JAN: (już bez zainteresowania) Aaaaa.... tak.
- ANNA: Więc zostaje pan w łękach.
- JAN: Tyle pani sobie trudu zadaje, żeby zatrzymać włość...

ANNA: Niech pan nie tragiczuje. Nie jest pan zwykłym włośczęgą. Nasze trudne czasy stwarzają nieraz takie sytuacje, jak pańska: przykre nieprzyjemne, ale napewno nie bez wyjścia. No, niechże się pan wyswobodzi z tego kubraka.

JAN: (swobodniej z pewną galanterią, zdejmując kurtkę, mówi)
Jeśli pani chce mnie traktować jako gościa...
(kładzie palto obok czapki na krześle)....
Przed chwilą nie śmiałem...

(wraca do stołu i siada)

ANNA: Zapomniałam zupełnie, pewnie pan chce palić.

(wyjmuje z torebki papierosnicę i podaje Janowi)

JAN: (rozjaśniony) Ooo, taki (zapala) Pani gościnność jest wspaniała... A wie pani, że od dwóch tygodni siedzę poraz pierwszy na krześle?

ANNA: (śmieje się) Dlaczego?

JAN: Tak się złożyło.

ANNA: (rozbawiona) A więc najwięcej przyjemności teraz sprawia panu siedzenie na krześle?

JAN: Nie, nietylko. To ciepło rozmarzające, szklanka pysznej herbaty, którą mnie pani poczęstowała, światło i ... rozmowa z panią... z kobietą...

(na ostatnich słowach głęboki akcent)

ANNA: (spogląda zdziwiona na Jana)

(ktoś puka do prawych drzwi)

JAN: (drgnął, przestraszony, patrzy na drzwi)

ANNA: Proszę.

MARTA: (wsuwa tylko głowę przez drzwi)

Gazety, proszę pani dziadziuszki.

ANNA: Połóż na stoliku przy łóżku. Przejrzę wieczorem.

JAN: (szybko wstaje) Ja chciałbym... Jeśli można...

ANNA: Chce pan czytać?

JAN: Tak. Przerzucę tylko, jeśli pani pozwoli.

ANNA: Marta podaj panu gazety.

(Marta podaje Janowi gazety, potem wychodzi)

(Jan bierze plik gazet w opaskach, waha się, przerzuca zaklejone w rękę, zamyśla się z gazetami w dłoniach)

ANNA: (w tym samym czasie wstała, podchodzi do paczek pozostawionych przez Wincentego, przegląda je uważnie, potem ogląda się na Jana)
Nie czyta pan?

JAN: (zamyślony) Nie.

ANNA: Dlaczego? A przed chwilą tak się pan rwał do gazet.

JAN: Gazety teraz bywają pełne tylko złych nowin...

ANNA: Chwała Bogu, że te złe nowiny bezpośrednio nas nie dotyczą.

JAN: Mogą być takie, które mnie dotyczą.

ANNA: (spogląda uważnie na Jana, potem bez zdziwienia raczej melancholijnie)

Pana?!

JAN: (milczy, patrzy na Annę, jakby chciał prześledzić jej myśli)

(pauza)

ANNA: (konstatuje) Pan się czegoś boi.

JAN: I tak i nie. Raczej prawie ciągle się boję. Ale jeśli pomyślę, że to już na się zdarzyć, przestają się bać i chciałbym, żeby się to stało zaraz... prędzej... natychmiast...

ANNA: To musi być ciężkie. Rozumiem pana - choć nie wiem co panu grozi....

JAN: Trudno to zrozumieć komuś, kto żyje, tak jak pani?

ANNA: To jest jak? ..

JAN: ~~Ha~~ No.- cicho, równo, spokojnie. Noc obfita w sen, a dzień obfity w jedzenie. .

ANNA: (uśmiecha się) Wyobraża sobie pan, że ja tu tylko jem i śpię.

JAN: Dla człowieka tak zagonionego, jak ja życie poczyna się ograniczać do tych dwóch funkcji. To najważniejsze: jeść i spać.

ANNA: (w zamyśleniu) Boże - co też to życie z ludźmi wyprawia...

- JAN: Bywa i tak, że to człowiek z życiem wyprawia...
(podchodzi do kominka grzeje ręce,
innym głosem)
Pani zato dobrze tutaj.
- ANNA: Czy ja wiem — Bywa, że dobrze — bywa, że
bardzo źle...
- JAN: Mnie się wydaje, że tu można być szczęśliwym...
Spokojnie, oicho...
- ANNA: Eh, to tak tylko pozornie. Cały dzień tutaj
duży ruch. Praca od świtu do nocy.
- JAN: (z lekką ironią) Pani tak pracuje?
- ANNA: No i ja też. Ale majątkiem rządzi admini-
strator pan Wójcik, niedołęga i do tego
arbitralny. Nie chce mnie wcale słuchać.
- JAN: (lekko) Nie może się go pani pozbyć?
- ANNA: Właśnie. Pierwszego stycznia kończy się z nim
kontrakt, więc mogłabym.
- JAN: No to wydalić go. Co tam z niedołęgą cere-
giele robić...
- ANNA: Tak, właściwie powinnam, ale kogo znaleźć
na jego miejsce?
- JAN: Boże mój, z tem to chyba żadem kłopot dzisiaj.
- ANNA: Bezrobotnych pełno, ale wykwalifikowanych,
solidnych sił zawsze mało.
- JAN: Jakiś tam pani sobie poradzi... A poza tem
co pani tu robi? Goście? Tańce? Flirty?
Polowania?
- ANNA: Oh, jak pan sobie wyobraża wieś w czasie
kryzyżu. Z dawnych, dobrych czasów pozostały
nam: obazerne mieszkania, podniszczone futra
i dostatnie jedzenie. Humoru już nie mamy.
- JAN: No, ziemianin zawsze jęczał, jęczy i będzie
XX jęczał. Dawniej to nazywało się susza,
gradem, mokrem latem teraz to się nazwy...
podatkami. Zawsze źle!
- ANNA: Nie można się nam dziwić. Zawsze obliczamy
nie to co zebraliśmy, ale to co moglibyśmy
zebrać, gdyby (śmieje się) nie grad, albo
susza.
- JAN: A widzi pani. A teraz myślicie, ile to byłoby
pieniędzy, gdyby podatków można nie płacić...

- ANNA: (śartobliwie) Można by pomyśleć, że goszczę sekwestratora...
- JAN: (śmieje się) Nie, nie, nie — niech się pani nie boi.
- ANNA: Właśnie pan, że tchórzliwsza niż ja, zlekka by się napewno.
- JAN: (nagle poważnie) A pani jest odważna.
- ANNA: Skąd ten wniosek?
- JAN: Bo pani się mnie nie boi, nieznanego włóczęgi.
- ANNA: Widzi pan, trudno się bać człowieka, który sam się boi.
- JAN: Pani ma rację, ale i ja ją mam, pani jest odważna.
- ANNA: Powiedzmy odważna i... stękniona do rozmowy.
- JAN: Tutaj tak samotnie?
- ANNA: Prawie zupełnie. W czasie długiej choroby mego męża, potem żałoby po jego śmierci, stosunki z sąsiadami urwały się.
- JAN: (z nagłym zainteresowaniem)
I nikt tu pani nie odwiedza?
- ANNA: Prawie nikt. Czasami z życzeniami w święta czy na moje imieniny...
- JAN: Rudi się pani?
- ANNA: Nieraz tęsknię za podróżami, ale na to nie mam obecnie pieniędzy. A pan lubi podróżować?
- JAN: Kto tego nie lubi. Ale nie udawało mi się wyjeżdżać z kraju dla przyjemności.
- XXXX Kilkanaście lat temu studiowałem w Holandii przez pewien czas...
- ANNA: Tak? (po pauzie) A co pan studiował?
- JAN: Rolnictwo. Nie dokończyłem, niestety, studiów.
- ANNA: Zazdroszczę panu teoretycznych wiadomości w tej dziedzinie. Ile razy przydałyby mi się tutaj. I to do tego w Holandii... tam podobno wsławnie są postawione akademie rolnicze...
- JAN: Podarowałbym chętnie pani moją "wiedzę".
Mnie ona teraz na nic.
- ANNA: I przed tem (wskazuje na jego wyszarżane ubranie) nie pracował pan w swojej dziedzinie?

JAN: Nie. (poważnie) Coś innego mnie wciągnęło.
ANNA: A coż pan by dzisiaj chciał robić?
JAN: Teraz... (machnął lekceważąco ręką)...
teraz już mogę robić wszystko...
ANNA: Jakte wszystko?
JAN: Chodzić koło bydła, drzewo rąbać, wodę
nosić...

(słychać tętent koni. Jedzie bryczka.
Potem zatrzymuje się przed dworem.
Głosy Męskie i Marty. Rozmowa)

ANNA: Ktoś przyjechał! (podechodzi do werandowych
drzwi spogląda przez szybę w noc, zasła-
niając boki oczu od światła. Tyłem do
widowni)

JAN: (wstaje wolno, podchodzi do krzesła ze
swojem odzieniem, czujny, gotowy do ucieczki,
jednak opanowany. Spogląda na prawe drzwi
z niepokojem, kto wejdzie. Skucha.)

ANNA: Ciemno. Nic nie widać.

(Konie ruszają. Tętent, koła cichną)

ANNA:+ Ktoś przejazdem. Odjechał. (wraca na
środek sceny)

(Jan rozpręga się, powraca do dawnego
swego krzesła. Siada.)

MARTA: (wchodzi) Proszę pani dziedziczki pan
Zabęski zostawił dla pani dziedziczki pięt-
naście łx zajęcy. Panowie kazali przeprosić,
że nie wchodzą, ale zmęczone z polowania byli.
Kazali się kłaniać pani dziedziczoce, zwierzy-
ną upolowaną zostawili i całują rączki.

ANNA: Trzeba było ich prosić, żeby zostali na ko-
lacji. Jakże tak można Marto gości sprzed
ganku puścić w drogę.

MARTA: Ale pani dziedziczko, prosiłam. Chciałam
wołać pani dziedziczki, ale oni nie dali,
powiedzieli, że przyjadą, jak się zajaczki
upieką. Może i lepiej, że nie zostali,
okropnie wódka od nich zalatywała.

ANNA: No już dobrze, Marto. Zające w spiżarni trze-
ba powiesić wysoko, żeby się szczury nie

- dostały do nich, bo bądźcie tak, jak z kuro-
patwami...
- MARTA: Skądte szczury, u nas niema żadnych szczurów.
Wtedy to Diana kuropatwy pozjadała.
- ANNA: Co też Marta wygaduje. Suka do polowania uło-
żona i zwierzynę w śpiżarni zjadałaby...
- MARTA: A Wincenty mówił...
- ANNA: No właśnie. Co Wincenty powie, to dla was
święte. W każdym razie Diana czy szczury -
zające mają wisieć wysoko na sznurze.
- MARTA: Słucham pani dziedziczki. (wychodzi)
- ANNA: Co też ten Wincenty ma za władzę nad nami.
Coś tam im zawsze nagada - i wierzą w to,
- że daliby sobie ręce poucinać...
- JAN: (żartobliwie) Czaruje urodę...
- ANNA: (śmieje się) Czy ja wiem... Dość, że rej
wodzi i to nie tylko między babami. Sprytny
ogromnie...
- JAN: (jakby z niepokojem) Czy aby nie za sprytny?
- ANNA: Bóg raczy wiedzieć - Może tam i trochę sztucz-
nie powiększa swoje dochody. Ale niech to
już pan Wójcik tropi... Niecierpię podejrze-
wania ludzi.
- JAN: Co to byli za panowie - z temi zającami?
- ANNA: Sąsiedzi. Pan Zabęski jeden z bliższych,
pewnie z siostrzeńcem swoim...
- JAN: Daleko stąd mieszkają?
- ANNA: Niecałe dwadzieścia kilometrów od moich Łęk
do nich.
- JAN: (badawczo) A do miasteczka około 16?
- ANNA: Przeszło 16, ale droga, jak pan widział,
wygodna. Cały czas szosa.
- JAN: A do kolei, ile?
- ANNA: Do kolei najdalej - 24 kilometry, ale też
szosa.
- JAN: (zamyśla się, jakby do siebie, zadowolony)
Wszędzie stąd daleko... (pochyla głowę,
nagle znużony)
- ANNA: (patrzy na niego współczująco)
Bardzo chciałabym panu pomóc...
- JAN: (zrezygnacja) Mnie jest bardzo trudno
pomóc...

- ANNA: Trudno. Bo pan tam przed chwilą plótł o noszeniu wody, rąbaniu drzewa, ale to żarty... A tu naprawdę coś trzeba radzić.
- JAN: Ale ja naprawdę mogę to robić.
- ANNA: A robił pan to już kiedy?
- JAN: (zażenowany)
No - nie. Ale teraz naprawdę muszę się chwycić wszystkiego.
- ANNA: A widzi pan. O tem nie może być mowy.
- JAN: W Warszawie poznałem młodego modyka, który wieczorem zamiatał śnieg na ulicy, a rano biegł na wykłady.
- ANNA: Tak, wiem o takich wypadkach, ale ja do tego ręki bym nie przyłożyła...
- JAN: Jeśli pani może do czegoś lepszego rękę przyłożyć, tem lepiej...
- ANNA: Właśnie myślę nad tem... (zamyśla się)
- JAN: Najprościej byłoby, gdyby pani dała mi parę złotych. Poszedłbym stąd i po kłopotcie.
- ANNA: Po kłopotcie dla mnie, ale nie dla pana. Zresztą mogłam to zrobić już w miasteczku. Ale parę złotych, to zaledwie parę dni życia, a co dalej?
- JAN: Nie wiem. Nie spotyka się co parę dni hojnych i dobrych dziedziczek - to pewne.
- ANNA: Zaraz. Lubię wszystko robić w należytej kolejności: co najpilniejsze na początek. Teraz zaproponuję panu wodę gorącą, czystą bieliznę i któryś z garniturów mego męża. Dobrze? Myślę, że w tej chwili to pana więcej ucieszy, niż parę złotych?
- (naciska dzwonek)
- JAN: (rozradowany) O tak najlepsza pani. Ale wszystko w kolejności - (żartobliwie) - i na "parę złotych" przyjdzie odpowiedni moment...
- ANNA: (śmieje się) Dobrze, dobrze - zobaczymy jeszcze - ... (woła) Marto... Marto...
- (wychyla się przez prawe drzwi i do niewidocznej Marty mówi)

Niech Marta przyszykuje dla pana wodę gorącą
w łazience... (reszty nie słychać)

(potem przechodzi przez pokój do drzwi
na lewo i znika)

~~Krzysztof~~ Jan zostaje sam, rozprostowuje się, przyciska
palcami oczy. Wstaje. Rozgląda się po pokoju.
Podchodzi do sekretary. Ogląda fotografie, potem
parę kroków w stronę stoliczka, na którym leżą
gazety. Bierze pierwszą, rozrywa ~~wpak~~ szybko opaskę,
rozkłada pismo, szybko przerzuca oczami pierwszą
i drugą stronę dziennika. Coś krótko czyta. Potem
bierze drugą, trzecią i czwartą. Rozrywa opaski
i szybko przegląda 2 pierwsze stronicę każdego.
Ostatnie pismo czyta dłużej. Zadowolony, uspokojony,
uśmiecha się lekko. Kładzie spowrotem na stoliku
wszystkie gazety, które tworzą nieperządny stos,
rzucający się w oczy. Na stoliczku spostrzega
papierośnicę Anny, waha się, potem wyjmuje papie-
rosa i zapala. Odwrócony plecami do drzwi z lewej.

ANNA: (wchodzi przez lewe drzwi)
(w ręku na drewnianym ramięczku trzyma bron-
zowy, sportowy garnitur. Przez jedno z ra-
mion garnituru przewieszony jedwabny gustow-
ny krawat. Pod lewą pachą trzyma zawiniąt-
ko z bielizną. Wchodząc, otrzepuje lekko
garnitur i ogląda go)

Powinien być niezły ~~st~~ na pana...

JANA: (odwraca się twarzą do Anny)
Wziąłem pani papierosa... Przepraszam...
nie mogłem się oprzeć.

ANNA: Ależ proszę. No, niech pan teraz idzie
się przebrać.

MARTA: (wchodzi) Wszystko już gotowe dla tego
pana. (wychodzi)

ANNA: No, prędkiej, proszę... (podaje garnitur
Janowi)

(Jan bierze garnitur, bezradny, nie
wie gdzie ma iść)

ANNA:2

(popycha go lekko)

Tu na prawo, prosto korytarzem, a potem te małe drzwi na lewo...

JAN:

(zaśniewany) - Nie chciałbym.... pani się trudzić

ANNA:

(szerstko) - Dość ceregieli. (wpycha mu zawiniątko z bielizną pod pachę) Przeznaczam to już dla pana... Niech pan bierze.

(JAN powoli, nieśmiało wychodzi)

Anna zostaje sama, uśmiechnięta, wzrusza lekko ramionami. Zauważa nieład na stolyczku. Podchodzi. Siada na fotelu i ściąga wszystkie gazety na kolana. Parę kartek upada na ziemię. Anna zbiera je skrzętnie i pokałci zabiera się do czytania każdej z nich. Przerzuca, jakby czegoś szukała. Czyta tylko 3 i 4 stronę każdego dziennika. Na niczem dłużej się nie zatrzymuje. Widać, że tego czego szuka niema w piśmie. Zadowolona składa napół machinalnie dzienniki, systematycznie i równo kładzie je na stoliku. Wstaje i jakby z ulgą zapala papierosa.

~~MARTA:~~

(wchodzi)

(Wchodzi Marta z tabą w ręku. Zapala nad stołem lampę. Kładzie obrus. Stawia chleb, masło, półmiski, talerze)

ANNA:

Marta była dziś u Michasiowej?

MARTA:

A byłem. Zaraz, jak tylko pani dziedziczka rano do miasta wyjechała - to skoczyłam do niej...

ANNA:

- No i jakże z nią?

MARTA:

+ Klepsko pani dziedziczko. Zaniósłam jej, tak jak pani kazała kaszy, mleka i masła... Boże, jaka tam bieda... Sąsiadka obiecała ugotować jej... Ale Michasiowa to ledwie dyszy...

ANNA:

- Muszę jak najprędzej do niej sprowadzić doktora...

MARTA:

- Czy to warto pani dziedziczko? Jej już i doktor nie pomoże... A ciągnąć go taki kawał drogi - i na nic...

ANNA: - Co też Marta wygaduje. Kobiecina zaledwie kilkanaście dni choruje, młoda jeszcze, awy już ją chowacie...

(p a u z a)

MARTA: - A ten... (gest w stronę drzwi, którei wyszedł Jan) ... co to za jeden, pani dzie-
dziczko...?

ANNA: (wzrusza ramionami i z namysłem)

- Nie wiem. - Człowiek.

MARTA: Człowiek - to widać. Ale jaki? Może zły?

ANNA: (przez zamyślenie) Zły? (po krótkiej pau-
zie) Nie!

MARTA: Niech on sobie lepiej pójdzie od nas przed
nocą. Dać mu parę groszy i z Bogiem!

ANNA: (chwilę milczy, potem energicznie)

Marta pościeliła temu panu w małym pokoju
obok gabinetu. Trzeba będzie ze skrzyni
wyjąć coś cieplejszego, bo pod samą kołdrą
jeszcze zmarznie. Noce już chłodne...

MARTA: Wiadomo, to już przecie koniec września...

ANNA: (lekko zniecierpliwiona)

Już październik Marto, piętnasty. Co bę-
dzie na kolację? (podechodzi do stołu, po-
tem zdziwiona) Marta nakryła na jedną
osobę?

MARTA: No, a jakże pani dziedziczko?

ANNA: (wskazuje głową na prawe drzwi) A dla tego
pana?

MARTA: (zdziwiona) To on ma jeść przy stole z
panią dziedziczką?

ANNA: (chwilę myśli, waha się, potem poważnie)

Tak, będzie jadł ze mną.

MARTA: (z przesadną uniżonością) Słucham pani
dziedziczki.

(idzie w stronę drzwi na prawo, natyka
się na wchodzącego Jana. Staje, mierzy
go przyjaznym spojrzeniem, potem kiedy
Jan już przeszedł obok niej, ogląda się
za nim, kręci głową i wychodzi)

(JAN odświeżony, zmieniony z jasną, ogoloną twarzą, uśmiecha się widocznie zadowolony ze swej przemiany. Staje przed Anną.)

(ANNA spogląda na Jana rozjaśniona, z uśmiechem, zadowolona. Oboje patrzą na siebie dłuższą chwilę. Znać w nich jakieś głębsze przemiany. Annie Jan podoba się.

JAN:

(całuje Annę w rękę bardzo serdecznie i z szacunkiem. Potem głosem poważnym i uradowanym)

- Pani jest naprawdę bardzo dobra...

(w nowym ubraniu rusza się po scenie swobodnie, czuje się już równy towarzysko Annie) (nieco przesadnie)

- Wróciła mnie pani życiu. Dobrze mydło, gorąca woda, świeża bielizna i wogóle, (gest wzdłuż swojej osoby) zdjęcia do gruntu psychikę człowieka. Nie ma pani pojęcia, co to za męka nie mieć tego wszystkiego przez dłuższy czas...

ANNA:

(uśmiechnięta) - Rada jestem, że mogłam panu tę przyjemność wyświadczyć.

JAN:

(chodził po scenie, nagle przystanął przed Anną i wesoło):

- Podobam się pani?

ANNA:

(zachmurzyła się, potem lekko, swobodnie, przypatrując się Janowi)

Naturalnie, pan jest bardzo miły...

JAN:

Niech się pani nie geniwa, że zadałem to błahę dla pani pytanie... dla mnie ono było bardzo ważne. Jeszcze przed dziesięcioma minutami nie mógłbym... nie odświeżyłbym się mówić do pani... tym tonem, a teraz... już potrafię. Byłem siłą, że przez te parę tygodni tużaczki zdziaczałem doszczętnie, że będę się lękał ludzi, kobiet, że po przejściach... tak upakarzających nie wrócić do normalnego stanu...

- ANNA: (ubawiona) - I wystarczyło kilkanaście minut, zmiana ubrania i jest pan znów taki sam, jak przedtem...
- JAN: (gorąco) - To nie tylko woda, świeży garnitur i jedwabny krawat, to nie tylko to... to pani dobroć... pani tego dokonała. Pani potrafiła... zechciała... podejść do mnie, jak do kogoś równego sobie, a przecież można było kazać mi dać kawał chleba w czeladnej i tenże nawet garnitur posłać przez Martę. Ale pani nie... pani tak nie zrobiła, pani nie zbyła mnie jałmużną. Pani naprawdę obchodzi bieda drugiego człowieka!
- ANNA: (w zamyśleniu) - Może nie tak obchodzi, jak powinna... Może nie wszystkim pomagam, jak trzeba... Nie wiem... Staram się...
- JAN: Nie wiem, jaka pani jest dla innych. Dla mnie była pani poprostu cudowna. A wie pani, że tam jeszcze w sklepie, przestraszyłem się pani, to jest... nie przestraszyłem, ale czułem dziwny respekt połączony... z lękiem...
- ANNA: + Knie się pan bać? Dlaczego?
- JAN: - Bo pani jest (namyśla się, szuka właściwego określenia) - władcza! O tak - władcza.
- ANNA: (~~patrzy~~ patrzy pytająco)
- JAN: Pani życzeniom nie można się oprzeć... Przecież właściwie, mimo mojej biedy, co tu dużo gadać - krańcowej nędzy, ja nie chciałem przyjechać tutaj. Nie tak mocno, konkretnie, nie chciałem, ale nie prosiłem. Wogóle wszystko, co od paru godzin dzieje się ze mną, dzieje się tak, jak pani chce.
- ANNA: Pana bierność prowokuje poprostu chęć czynu... Może gdyby pan prosił o zabranie na bryczkę, o pieniądze na chleb, o ubranie, Bóg raczy wiedzieć czy zgodziłabym się na to wszystko, ale pana bezradne milczenie, jakaś ujmująca rezerwa, rozbija ją. Nie (śmieje się) nigdy nie zapomnę, jak pan sobie skromnie odliczał swoje groszaczki i z taką prostotą przyznawał się sklepowej, że nie starcza panu już pie-

niędzy na zapłacenie wędliny... A potem, wcale pan nie dziękował mi, że ją panu kupiłam..

JAN:

(przerywa) Byłem głodny i wyczerpany... A przytem zdziwiony... Nikt dotąd nie pomógł mi tak prosto i poludzku, jak pani... (zamyśla się) Więc najwięcej podobają się pani moja bierność. Więc jednak lebracy są świetnymi psychologami. Zna pani takie tajemnicze postacie stojące pod ścianami domów. Milczą, nie zaczepiają przechodniów, nie wyliczają swoich chorób, nieszczęść, nie wyciągają czapki - niemi i cisi czekają. I wie pani - to im się opłaca. Zbierają nieraz pokaźne sumy...

ANNA:

(śmieje się) No, panby nie potrafił wytrwać w takiej roli nawet dla żartu.

JAN:

Dlaczego? Może właśnie więcej komedianstwa przydałoby mi się w życiu?

ANNA:

Przydałoby się, może. Ale udawać, konspirować się pan to nie potrafi.

JAN:

(odrazu spoważniał patrzy na Annę uważnie, potem z udaną swobodą)

- Nie umiem się konspirować, bo co?

ANNA:

Bo jest coś w pana przeszłości, co chciałby pan ukryć, czego nie powiedziałby pan nikomu, ani mnie - a jednak to coś wyłazi z pana co chwilę...

JAN:

(zmieszkał się, potem zupełnie opanowany - lekko)

- Czyżby? (śmieje się) I cóż to - jeśli można wiedzieć - wyłazi z ze mnie tak co chwila?

ANNA:

(poważnie) - Właśnie nie wiem co, ale czuję, że to coś jest.

JAN:

(również poważnie).- Każdy ma swoje osobiste, głębokie przeżycia, które kryje przed innymi...

ANNA:

Czy to są tylko przeżycia, osobiste przeżycia?

JAN:

Dlaczego pani chciałaby wiedzieć? Z ciekawości, czy ze strachu?

ANNA:

Ani z ciekawości, ani ze strachu, wie pan już, że jestem odważna. Jeśli pytałam, to tylko

dlatego, że może i na tanto możnaby było coś poradzić...

JAN: Więc pani mnie się nie a nie nie boi?

ANNA: (po namyśle) - Nie, a dlaczego właściwie miałabym się pana bać?

JAN: Jest pani samotna, urocza, zamożna - ileżż więc powodów do przestępstwa z różnych paragrafów kodeksu karnego...

ANNA: - Widzi pan (przygląda mu się z zainteresowaniem, badawczo) na zwykłego, drobnego złodzieja nie wygląda pan, do zmuszania kobiet do uległości chyba nie uciekał się pan dotąd - a wielcy przestępcy - potrzebują wielkiego miasta.

JAN: (z namysłem, smutno) - Czasami wielkie, niedobre sprawy wędrują do cichych, odległych dworów...

ANNA: Rzadko, bardzo rzadko...

JAN: Mówi to pani z żalem?

ANNA: (stanowczo) Nie. Wielkie, niedobre sprawy, sprowadzają wielkie, niedobre smartwienia. A ja nie chcę smartwieć.

JAN: A czego pani chce?

ANNA: (patrzy na Jana poważnie, głęboko i z namysłem po pauzie) - Czy ja wiem....

(po chwili spojrzawszy na gazety, lekko)
Znalazł pan coś interesującego w gazetach?

JAN: (popatrzył na stolik z gazetami, potem na Annę) - A skąd pani wie, że szukałem czegoś w nich?

ANNA: Kiedy wróciłam z garniturem dla pana, zastałam gazety w takim nieładzie, że ^{nie}trudno było domyślić się, że nie tylko pan je czytał, ale dość nerwowo przerzucał..

JAN: (z uśmiechem) - A potem, jak ja wyszedłem stąd, pani je czytała, szukała też czegoś i... (spogląda na nią z uwagą, potem oboje uśmiechnięci)

ANNA: Tak. Zgadł pan. Czy potem, że tak są teraz starannie ułożone?

JAN: Nie. Prostu chciała się pani czegoś o mnie dowiedzieć. Jeśli ja szukałem, to mogło

- ANNA: tam być coś o mnie. No i co, znalazła pani?
- JAN: Nie. Shwała Bogu nie nie znalazłam.
- ANNA: Panią to cieszy. Czego spodziewała się tam pani?
- JAN: Czegoś złego dla pana...
- ANNA: No to co z tego?
- JAN: Chciałabym pana - uchronić przed tem.
- ANNA: Dziękuję. Dobrze pani ma serce, ale to jest niemożliwe. Przed mojem nieszczęściem nie ucieknę już pewno nigdy.
- JAN: Pan się lęka o kogoś? Boi się dowiedzieć o czyjejs śmierci?
- ANNA: (nie odpowiada, zaciśnięte dłonie)
- JAN: Bankructwo?
- ANNA: (miloży, zdenerwowany)
- JAN: Kobieta? Zła kobieta?
- ANNA: Niech pani nie pyta i tak nie nie powiem.
- JAN: Dobrze. Niech pan miloży i nie mówmy już o tem.
- ANNA: (stanowczo i poważnie) - Dziękuję. Tak będzie lepiej i dla pani i dla mnie. (lekko skłonił się)
- JAN: (zamyśla się przez dłuższą chwilę, jakby coś ważyła w sobie)
- ANNA: - Zostanie pan w Łękach na dłuższą...
- JAN: (ożywił się, potem przygaskł)
- ANNA: - Może... i mógłbym...
- JAN: Ale chciałby pan? Jeśli dałabym panu pracę, którąby pan lubił?
- ANNA: O tak. Porządną pracę... Dużo, dużo pracy..
- JAN: Ilu ludzi dzisiaj marzy o tem, o tej pracy, tak nienawidzonej niegdyś, uprzykrzonej, a teraz dla tylu upragnionej. Praca... praca... Już nie tylko dla chleba, ale dla niej samej...
- ANNA: (rzeczowo) - Musimy więc rozważyć wszystkie możliwości....
- JAN: Ja właściwie nie nie umiem. Jestem dyktantem w paru zawodach, które tutaj na wsi nie mają nawet zastosowania.
- ANNA: A pańska akademicka rolnicza w Holandii?
- JAN: Tyle lat temu... niewiele już pamiętam z tego,

- czego się tam nauczyłem. Nie miałem w użyciu...
- ANNA: To tylko tak pozornie. Parę miesięcy przygotowania, książek...
- JAN: Nie zdałem końcowych egzaminów... Nie mam dyplomu.
- ANNA: E, to nie o to chodzi. Trzeba tylko pewne rzeczy wiedzieć, dobrze wiedzieć, a nie szeleścić dyplomami.
- JAN: Nie mam teraz głowy do książek. Czasami wydaje mi się, że nie mógłbym dotrzeć książki do końca.
- ANNA: Herwy. Przejdzie. Musi się pan wziąć ostro do siebie.
- JAN: Najchętniej zająłbym się fizyczną pracą: od rana do nocy, od rana do nocy, a potem jak kłoda ... spać... nie myśleć, nie myśleć...
- ANNA: (znosząco) - Zapomnieć?
- JAN: (bez śladu) - Pani znów czyha na jakieś słowo?
- ANNA: (współczująco) - O al mi pana...
- JAN: (z nagłym wybuchem) Gdyby pani naprawdę współczuła ze mną - zabiłaby mnie pani, zamiast pomagać.
- ANNA: Nie uznaję zabójstwa z litości. Taka litość nie ma granic i mogłaby w końcu dojść do absurdu: zabijając, żałując, że ktoś nie ma frajdy, albo jeszcze jednej parę jedwabnych podszewek. To oczywisty nonsens.
- JAN: A ciężko, śmiertelnie chorych?
- ANNA: To tylko pozornie jest bezlitosne, ale ludziom trzeba pozwolić cierpieć przed śmiercią. Wtedy staje się ona wybawieniem..
- JAN: Tak. Może pani ma rację. Wybawieniem... staje się wybawieniem... (z rozpaczą) A dlaczego ja nie mogę odebrać sobie życia?
- ANNA: Bo pan chce żyć, to proste.
- JAN: (ekstacycznie, przechyla głowę do tyłu, oczy zasłonił rękami, stoi na środku sceny)
- Być! ... Być! --- Być!
- (Zakazuje się, potem cicho, matowo)
- jestem taki zmęczony... okropnie zmęczony..
(siada w fotelu, głowę opiera o poręcz, przymyka oczy)

...dotąd trzymałem się jakoś, dwa tygodnie
razem, głodowania wymordowały mnie, stępiły...
dopiero dzisiaj... dzisiaj... pod wpływem...
ciepła... pani dobroci. Teraz kiedy mogę od-
począć... chociaż na krótko... To wszystko
razem... tak mnie ściska... Nie wiedziałem...
że jestem taki... (milknie, oczy na zaskniete,
wyraz twarzy znoszony, bolesny)

(p a u z a)

ANNA:

(patrzy na Jana z narastającym współczu-
ciem. Widać, że chciałaby mu pomóc, namyś-
la się, nerwowe zaciska dłonie. Jej dobre
serce nie może wytrzymać cierpienia Jana.
Szepcze ledwie dosłyszalnym głosem)

- Biedaku!

(Potem wstaje, przechodzi dwa razy wzdłuż
sceny, spoglądając ciągle na Jana,
potem podchodzi do fotela na którym siedzi
jakby uśpiony Jan, nachyla się nad nim,
znacząco wyrażając uwagę na jej twarzy. Przez
chwilę chciała go pogłaskać po ramieniu,
ścisnąć się jednak, potem zbliża się do sek-
rety, z bocznej szufladki wyjmując mały fla-
konik, wysypuje dwie pastylki na dłoń,
rozpuszcza w szklance wody, podchodzi do
Jana i energicznie)

- Proszę to wypić!

JAN:

(bierze machinalnie szklankę, otwiera oczy,
napotyka wzrokiem Annę, rozjaśnia się)

- Przepraszam. Na co ja sobie tutaj pozwalam.
Niech mi pani wybacz. (pije) A co pani mi
dała?

ANNA:

To uspokoi pana, wzmochni, to dobre.

(odbiera od Jana szklankę, stawia ją na se-
kreterze)

JAN:

A skąd pani wie, że uspokaja? Pani to zażywa?

- ANNA: (wymijając) - Tak, czasami...
JAN: uspokaja się pani?
ANNA: Wszyscy mamy nerwy...
JAN: No tak, ale że pani je ma rozstrzęsione,
w to trudno uwierzyć.
ANNA: Nie potrzebuje pan w to wierzyć.
JAN: Ale już wiem o tem.
ANNA: Nie powiedzisz panu tego. No, co,
nie lepiej panu?
JAN: (patrzy na nią ufnie i serdecznie)
- lepiej - o wiele mi lepiej. Zaraz mi lepiej,
jak patrzę na panią..
ANNA: Sentymentalny?
JAN: O dalszaj - bardzo. Nie może mi się pani
dziwić. Taki wieczór... cudowny... Nawet
nie mogłem o czemś podobnem marzyć.
ANNA: Niech pan nie przesadza. Właściwie nie
dla pana dotąd jeszcze nie zrobiłem takiego,
szalanka herbaty i to ubranie...
JAN: Pani przecież wie, że ja nie o tem tylko
mówię, ale o pani...
ANNA: (przerzywa, staje nad jego fotelem i rozka-
zuje) - Zostanie pan w łóżkach na stałe.
Nie może pan stąd odejść, w takim stanie
nerwów. Chyba, że na pan gdzie iść...
JAN: Gdybym miał gdzie iść - poszedłbym tam już
wczoraj.
ANNA: A więc postanowione. Zostaje pan w łóżkach,
jako... jako... administrator mojego majątku,
jako rządcą, (szybciej) tak, jako rządcą..
Ma pan prawie ukończoną akademię rolniczą,
jest pan młody, zdrowy, kulturalny i pracowity
- to widać po panu. W bibliotece mojego
męże znajdzie pan mnóstwo fachowych książek,
przypomni pan sobie co trzeba. (namyśla się,
potem stanowczo) Wójcik odchodzi 1 stycznia,
dziś mamy 15 października. Ma pan dwa i pół
miesiąca czasu na rozegzanie się w gospo-
darstwie. Ewentualnie dopomoże panu sam Wójcik.
No co, zgoda?

- JAN: (w czasie, kiedy Anna mówi, w Janie narasta najpierw zdziwienie, potem oszołomienie, wreszcie szalona radość, wstaje z fotela i staje przed Anną - radośnie)
- I pani to mówi na serio?
- ANNA: Czy myśli pan, że to jest chwila i temat do żartów. Naturalnie, że mówię to na serio.
- JAN: Boże, Boże, jaka pani dobra. Mogę przecież tu nie zostać, nie móc, nie umieć, zresztą nie wiem już co, ale to nie o to tylko chodzi, sama świadomość, że pani zaufała - uwierzyła. - zachciała. To jest cudowne... Praca, miła, jasna, prosta, cudowna, cudowna...
- ANNA: No nie taka ona znów tam jasna i cudowna...
- JAN: Taka, taka... kiedy odbywałem praktykę na doświadczalnej fermie zagranicą, pamiętam...
- ANNA: (śmieje się) - Ależ marzycielu, niech się pan obudzi. Łąki to jest sobie taki miły, trochę zapuszczony majątek, a nie doświadczalne, wzorowe gospodarstwo. Służba trudna do utrzymania. Trzeba mocno przy pyskach trzymać, bo inaczej wierzgają..
- JAN: A ~~zatem~~ jakże im pani powie, że się ma nie mają słuchać. Taki Wincenty, Marta odpowiedzialną, że pani przywleczła obdartusa, nieznanego...
- ANNA: Niech się ośmieli nie słuchać. Aby tylko raz poculi, że muszą, to już potem wciągną się...
- JAN: Ale właśnie, ten pierwszy raz...
- ANNA: Najlepiej odrazu diabła za rogi.
(naśliska dzwonek)
- JAN: Co pani chce zrobić? (przestraszony)
- ANNA: Spokojnie, spokojnie - zaraz pan zobaczy.
- MARTA: (wchodzi) - Słucham pani dziedziczki.
- ANNA: Kto tam jest w kuchni?
- MARTA: Jest Władysława, ja, Wikta obiera kartofle i Wincenty je kolsceje...
- ANNA: Niech Marta zawoła Wincentego i sama wróci tutaj.

MARTA: Słucham pani dziedziczki. /wychodzi/
JAN: Po co ta cała komedia.
ANNA: (stanowczo) To wcale nie komedia, pan chce temu nadać jakieś inne znaczenie, a to poprostu - ja wydaję polecenia mojej służbie.
JAN: Słucham!
ANNA: Nie chciałem pana urazić.
JAN: (stoi zmieszany) - Niech mi pani wybaczy, nie umiem się jeszcze włączyć w moją nową rolę...
ANNA: Niech pan się nie wżywa. Niech pan będzie sobą.

(wchodzi: Wincenty, i Marta. Marta staje blisko brzozi)

WINCENTY: (wchodzi, kłania się)
ANNA: Wincenty wie, że pan Wójcik odjeżdża stąd na Nowy Rok?
WINCENTY: (zadowolony) - A wiem proszę pani dziedziczki.

(patrzy szybko to na Jana to na Annę, jakby coś mierkował i domyślał się)

ANNA: Wincenty jest u mnie już od ośmiu lat, najstarszy tutaj ze wszystkich w służbie, więc niech Wincenty powie reszcie ludzi, że ten oto pan będzie od Nowego Roku na miejsce pana Wójcika w Łąkach. Macie się go słuchać, nowemu panu rządcy pomagać, żeby się tu we wszystkim dobrze rozszedł i żeby mi żadnych skarg potem na was nie było. Panu Wójcikowi sama o wszystkim powiem. A teraz dobranoc Wincentowi.

WINCENTY: (słuchał z uśmiechem sprytnym, nowina go widać uradowała)
- Słucham wielmożnej pani dziedziczki. To ja jeszcze dziś pójdę do czworaków i panu karczowskiemu powiem i innym, żeby pana rządcego (ukłon w stronę Jana, który Jan nie zwrócić po miejscu odwzajemnia) uważali akuratnie...

ANNA: (przerzywa) - Nie, nie, Wincenty to jutro rano im powiedz, zdążyście. A teraz dobranoc.

- WINCENTY: (widząc, że nieraź, że mu nie dano wykazać swojej gorliwości, zahamowany w gotowości, chwilę porusza się w miejscu, wreszcie po namyśle kłania się)
- Dobranoc wielmożnej pani dziedziczce!
(głęboki ukłon w stronę Jana) Dobranoc panu rządcemu! (wychodzi)
- ANNA: Dobranoc Wincentemu!
- JAN: (miloży, tylko się kłania)
- MARTA: Chciałam się zapytać, czy mogą już podawać kolację.
- ANNA: Naturalnie, jestem już od godziny głodna.
- MARTA: (nachyla się do Anny i zciśniętym głosem)
kxk - Kolacja dziś postna, możeby kazał Władysławowej zrobić coś z mięsa dla pana rządczego? Wiadomo, żaden pan postu nie lubi...
(z uśmiechem) - No, nie wiem, jak pan rządcza sobie życzy...
- JAN: (zadowolony) - Ale kxkądże, pani mnie zawstydza, zjem to co wazyssey. Proszę...
- ANNA: Niech Marta podaje, co jest gotowe.
- MARTA: Słucham.
- ANNA: No widzi pan - nie taki diabeł straszny, jak go malują. To prostolinijni ludzie i bardzo rozsądni. Tam gdzie chleb - tam służba.
(Stoi na środku sceny, wesoło)
- JAN: - Tak, pani ma rację. Tam gdzie chleb, tam służba (przedrześnia) wielmożna pani dziedziczko. (kłania się jej z galanterią)
(uśmiecha się pogodnie, przechodzi przez scenę do prawych drzwi)
- ANNA: - Zaczęłam wracać, przebiorę się tylko z podróżnej sukni.

(wychodzi)

JAN stoi sam na środku sceny z uśmiechem. Po chwili zasępia się. Rozgląda. Robi wolno parę kroków, tym samym ciężkim krókiem co w pierwszych scenach. Podeschodź do krzesła przy drzwiach werandowych, na którym pozostawił swój kubrak, sięga do kieszeni i wolnym ruchem wyjmując browning i chowa do tylnej kieszeni swojego nowego garnituru. Zostaje w głębi sceny zamyślony.

A K T I I .

Dzieje się w półtora miesiąca później. Dekoracja ta sama co w akcie I-ym. Jest około 12-ej w nocy. Przy stole z prawej strony siedzi Jan w ciepłym pulowerze i czyta książkę relniczą. Na stole pełno missiagoszników i książek. Dłuższą chwilę Jan jest sam na scenie zatopiony w pracy. Potem do drzwi naprosto widowni ktoś puka w szybką, najpierw słabo, potem mocniej. Jan nasłuchuje, zdziwiony, potem zaniepokojony, wreszcie wstaje, podchodzi z do drzwi werandowych i uścisnąwszy po odwróceniu portiery dojrzał coś nazewnątrz w ciemności, a potem...

JAN: (zaniepokojony) - Kto tam?

(pukanie powtarza się)

JAN: (zasłania ręką oczy od światła i patrzy przez szybę, potem spokojnie i lekko niechętnie)

- A to pani dziedziczka...

(roztwiera drzwi i nie patrząc na wchodzącą Annę, wraca do pracy):

- A coż pani za spacer po nocy odbywa? Już po północy.

(siada przy stole i zaczyna czytać, nie zwracając uwagi na Annę)

ANNA:

(Schodzi w drugim futrze narzuconym na nocną koszulę, na nogach ciepłe, nocne pantofle. Włosy w nieładzie. Wygląda na zmęczoną. Jest czemś wyraźnie, głęboko wzruszona. Poprawia kołnierzy przy futrze, zaciśnięte mocniej wkoło ciała. Hagliu spod spodu nie widać. W rękę trzyma zapaloną wiejską latarnię. Mówi nieprzyjannym, zdenerwowanym głosem):

- Przepraszam, że fatygowałam pana...

JAN:

Ależ pani dziedziczko...

ANNA:

Ale nie mogłam inaczej dostać się do domu. W stołowym zobaczyłam światło, nie wiedziałam...

zam, że to pan... W kuchni śpią już wszyscy,
jak zabici. Nie udało mi się nikogo obudzić...

(stała na lewym krześle przy drzwiach
środkowych wiejską latarnią, otwiera ją
i zdmuchuje w niej świecę, potem odwraca
się do widowni twarzą i z głębi sceny
patrzy uporczywie na Jana)

JAN: (Zajęty czytaniem, coś na boku notuje, pod-
niósł oczy popatrzył ukradkiem na Annę i
wrócił do pracy).

ANNA: (Podskocytowana) -Nie mogłam spać. Marta
na ducho napaliła dzisiaj w mojej sypialni.
Chciałam trochę odetchnąć świeżym powietrzem...
(próbuję weselszego tonu) ale obłędno na
dworze, wilgotno... (milknie, stoi na chwilę
bezradna, wreszcie) Nie ma pan papierosa?

JAN: (szybko odrywa się od pracy, przeszukuje
kieszenie, podaje uprzejmie tekturowe pudeł-
ko z papierosami, potem podaje ognia)
- Słuch pani dziedziczko.

ANNA: (Zapala papierosa, przyczem lewą ręką,
przytrzymuje kołnierz futra przy szyi,
chcę zapobiec rozwarciu się płaszcza,
przyczem dotyka ręką miejsca, w którym
normalnie spoczywa medalion. Szuka na
szyi łańcuszka, lekko odchyła kołnierz,
wreszcie zmartwiona):

- Zgubiłam mój medalion...

(spogląda dokoła na podłogę blisko siebie)

JAN: Może poszukać... (rozgląda się, ale niezbyt
gorliwie)

ANNA: Tu go niema. Musiałam go zgubić na dworze.

JAN: Zdaje się, że to dla pani droga pamiątka.
Jeśli pani pozwoli, pójdę poszukać przed
domem. Wezmę latarnię...

(podchodzi do latarni, chce ją zapalić)
Może pani będzie łaskawa powiedzieć mi, gdzie
pani teraz chodziła w czasie spaceru, może
uda mi się...

ANNA: (nagle impulsywnie, podbiega do Jana)
Nie, niech pan nie chodzi tam... nie teraz

Ciemno... W nocy nie pan nie znajdzie...

(mocno zmieszana)

JAN:

(zdziwiony, popatrzysz na Annę uważnie,
potem zdawkowo)

Jak pani sobie życzy... (wraca do stołu)

P a u z a

ANNA:

A panu tu nie gorąco? Pan się zaprocuje. Albo książki i notatki, albo stajnie, chory, konferencje z Wójcikiem...

JAN:

Bardzo mnie to doprawdy interesuje. Tak się wciągnąłem w te rzeczy. Nie pani, że bęki dobrze poprowadzone, umiejętnie wyzyskane mogą się stać złotem jabłkiem. Można by nawet przy dzisiejszej ciążkiej dla sierżant koniunktury powiększyć znacznie dochody...

ANNA:

(niechętnie) - Bez większego kapitału nie osiągnie pan tego.

(siada przy stole, zaciąga się nerwowo papierosem, poprawia włosy)

JAN:

Właśnie wpadłem na pomysł, wydaje mi się, że niechcący. Bęki mają prawie zupełnie czystą hipotekę, można więc dostać pożyteczną bankową i zaktualizować najpotrzebniejsze potrzeby, zabrać się do drutowania tej wspaniałej włski pod lasem. Pszenica tam pewna... Mam już nawet opracowany plan robót... O, niech pani przejrzy go ze mną...

(rozkłada notatki i spory kawałek papieru z planem)

ANNA:

Nie, nie teraz... Teraz nie mogę. Głowa mi pęka poprostu... Niebym z tego nie zrobiła. Zresztą tu już za późna pora do tego...

JAN:

(zawiedziony) - Szkoda, że pani nie chce...

ANNA:

Kiedy indziej chętnie, naprawdę chętnie...

JAN:

Wydawało mi się, że to dla pani jest pilne - ważne, a tymczasem...

ANNA:

(panuje z trudem nad sobą)

- Nie myli się pan, to jest dla mnie ważne i pilne, ale nie teraz, nie w tej chwili...

JAN:

(widzi jej niezwykle podrażnienie i pyta z naciskiem)

- JAN: Dlaczego nie teraz i nie w tej chwili?
- ANNA: Powiedziałam panu przecież, że mam ból głowy - i jestem okropnie wytrącona z równowagi...
(z wyrzutem) Czy pan nie widzi, że te sprawy mnie teraz nic a nic nie obchodzą...
- JAN: (patrzy uważnie i stara się nie pokazać większego zainteresowania)
Czy pani dzisiaj przytrafiło się coś specjalnie nieprzyjemnego?
- ANNA: (zależowiona) - Nie, dzisiaj nic specjalnego...
po prostu, tak - nerwy.
- JAN: (lekko) - A pastylki już nie pomagają?
Może zażyje pani?
- ANNA: Nie. Dzisiaj nie chcę. Pójdę już sobie....
(wstaje)
- JAN: (nagle gorąco, potem umyślnie oficjalnie)
Nie, niech pani nie odchodzi! Nie będzie pani mogła i tak usnąć. Niech pani zrobi mi ten zaszczyt i posiedzi trochę ze mną, pani dziedziczko...
- ANNA: (refleksyjnie) - Zaszczyt.... (zamyśla się)
- JAN: (widząc, że Anna zamyśliła się, spogląda w stronę pozostawionej książki)
- ANNA: (z bolesną ironią)
- Tak pan pokochał te szpargały. (unosí się)
Wie pan, że to się staje wprost irytujące...
- JAN: (z rezerwą i szacunkiem)
- Nie rozumiem pani dziedziczki...
- ANNA: Ja sama siebie nie rozumiem. Ale to mnie tak szkodzi zaczyna, jak widzę pana cały dzień zotopionego w tem... w tem...
(wskazuje ręką na książki i notatki)
- JAN: Jakże lepiej mogę się odwdziżyć za to wszystko, co pani dla mnie zrobiła?
- ANNA: Dosyć! Dosyć! Słyszysz pan - dosyć mam tej pana uległej wdzięczności. Niech pan rozmyślnie nie powiększa mojej dobroci. Nie prawie nic zrobiłam dla pana, a gdyby nawet, to te drobne ulepszenia, które pan w łękach zdążył porobić, opłaciły mi się znakomicie. (gorzko)
Zrobiłam na pana interes! Dobry interes!

JAN:

(staje przed Anną)

- Widzi pani, ja jestem już stary, dojrzały mężczyzna... Nie, że (urywa)... Nie, nie umiem tego powiedzieć. Nie wiem, to dzieciada, a reszta... Nie mogę, nie mogę... Nie śmiej się proszę...

ANNA:

(wstała, gorąco)

To ja panu powiem --- Będę odważniejsza ---

Ja wiem --- Ja wiem... Ja powiem panu...

JAN:

(chichotając z zadowolonego, bezradnego staje się czujny, niespokojny)

- Co pani wie? Co pani mi powie? Ja nie chcę słyszeć... Nie, nie chcę o niczym słyszeć...

ANNA:

(zniesiona)

- Tak. Zawsze tylko pan i pana zamieszanie, i pana niepokój. Tego, że ktoś obok pana cierpi, tego się nie wie (zdyszana) Nie wiem, może nie powinna, moja matka możeby się nie ośmieliła, ale ja powiem... powiem... Niech pan wie, niech pan wie, że jestem taka banalna, prostolinijna, śmieszna, że wystarczy aby przypadek sprowadził do mojego domu mężczyznę, młodego mężczyznę i już wystarczy aby zaczęła krążyć w dzień i w nocy koło drzwi jego pokoju. Dziś, dziś także... Nie spałam, nie mogłam. Był pan usiebie, widziałam światło w szparze drzwi i słyszałam kroki od okna do ściany, od ściany do okna... Słuchałam, czekałam, chciałam wejść, zapukać... usłyszeć głos pana... spojrzeć jeszcze raz, jeszcze jeden raz (spadek głosu) i bałam się, nie mogłam... Poszłam ochłoniąć we mgle... w wilgoci... Potrzeba mi było ludzkiego słowa, ciepła... Nie wiedziałam co robić... Bałam się, że jeśli powiem panu, co się ze mną dzieje, to już wyjdzie pan z łok... Ja wiem, że ja pana jako kobieta nie wiele obchodzę i... że to byłaby głupia sytuacja dla pana...

JAN:

(w stronę słuchania słów Anny wpatruje się w nią zdziwiony, potem oszołomiony, cała gama głębokich odczuć maluje się na jego twarzy aż do olbrzymiej radości, w końcu podchodzi gwałtownie do Anny chwytając w ręce jej każde słowo, aż wreszcie głęboko wzruszony)

- Poczuj! Dlaczego się bałaś!? Ty jedyną, taką dla mnie nieosiągalną! Czy pani rozumie, czym są dla mnie te słowa - dla mnie podniesione przez Ciebie. Ty - ty czujesz jednak dla mnie coś więcej niż litość... Ty dobra, najlepsza... Ja też... ja też... przed chwilą chciałem ci to powiedzieć, nawet żebyś mnie wygoniła od siebie, chciałem się odważyć i wyznać ci... Najmilem... (przyskakuje u jej kolan i chowa głowę w jej futro)... Pani moja... (szepcąc) - (jakby wysuta z mił głodzi go z beznadziejną czułością po włosach)

ANNA:

- Wstań, wstań Janie...

JAN:

Pozwól mi zostać u swoich kolan... Tu moje miejsce... Bądź dla mnie siłą... moją siłą... Nie wierzyłem już, że mogę być jeszcze taki szczęśliwy...

ANNA:

(kając) - Kochany mój... trzeba wierzyć... zawsze wierzyć w możliwość odrodzenia się. Wierzę, kiedy jesteśmy już w zupełnej pustce, kiedy beznadziejność jest już kompletna, nagle przychodzi taka zbawiona, jedyna, nieomylna chwila i...

JAN:

Co ty możesz wiedzieć o beznadziejności...

ANNA:

(gorąco) A osiemnaście moich lat młodości. Oddychałem lekarstwami, chorobą, śmiercią, a wreszcie ostry lata samotności... Pragnę teraz wszystkiego... szczęścia, uśmiechu, ciepła...

JAN:

Bądźcieś je miłość i uśmiech i ciepło i szczęście. Ty mój zmarła ptaśko... Bądźmy szczęśliwi Anno, choć na krótko, ale bądźmy szczęśliwi...

ANNA:

My jesteśmy szczęśliwi...

JAN:

(obejmuje Annę czule, całuje jej dłoń,

gładzi go ramionach)

Powiedz mi, czy to możliwe, że ty, ty mnie
naprawdę...

ANNA:

Tak. Chyba odrazu jeszcze tam w sklepie. Bo
dlaczego tak troszczyłam się o ciebie, dlatego-
go od pierwszej chwili każda twoje zmiana,
przykrość ścisłała mi serce, raniła, jak moja
własna. Nie jestem wcale taka dobra Janie...
Ale dla ciebie popożyczyłabym wszystko, wszystko,
nawet zbrodnię...

JAN:

Cicho najdroższa, nie mów takich, smutnych
słów, można nimi źle wywołać... (refleksyjnie)
Rzecz pomyślana, już istnieje...

ANNA:

Pomyśl; a tak kłóciliśmy się przez parę
tygodni...

JAN:

(śmieje się) - Jedną awanturę za drugą...
Kiedy przypominę sobie, jaki wrokiem prze-
szywałabym mnie nawet przy niewinnym czytaniu...

ANNA:

(również się śmieje)
- Niemożliwe, wydawało mi się, że patrzę na
ciebie tak serdecznie i dobrze i że ty to
widzisz i umyślnie udajesz...

JAN:

O, nie, ale czasami mimo tych nieprzyjaznych
oczu i nierzadko chłodnych słów szła od ciebie
taka fala ciepła... Bardzo trudno było mi
wtedy nie wybuchnąć, nie powiedzieć... Ale
nie wolno mi było tego robić... (zaczepia się)

ANNA:

A widzisz, a ja musiałam pierwsza powiedzieć.
Nawet takiej odważnej kobiecie, jak ja bardzo
trudno jest przemóc pewien jakiś stawistycz-
ny wstyd... Całymi nocami planowałam sobie -
tak, zaraz jutro przy śniadaniu mu powiem,
ale co mu powiem, jak? wreszcie wszystko już
było obmyślane i ...

JAN:

(rozbowiany)

- I nazajutrz rano wchodziłam w wełnianej,
zapiętej pod szyję sukience, bez cienia ko-
zieterii, gładko uczesana, chłodna, surowa,
obojętna i wyniosła. Najchętniej stałabym się
na czas śniadania Dianą, leżącą spokojnie
pod stołem... Połabym, żebyś mnie nie do-
strzegła... Ale ty mnie zauważałaś i nawet

potrafiłaś mocno dokuczyć...

ANNA:

(przepraszając) - Tak się bałam...

JAN:

- Te się domyślam? O nie, ukrywałaś wszystko doskonale i nieraz zastanawiałem się, gdzie się podziła pani Anna z pierwszych dni, prosta, zrozumiała, bezpośrednia i dobra... Ale mimo twoją ośchłość, budziłaś we mnie olbrzymie zainteresowanie, - co ona teraz myśli, dlaczego się zasępiła, nie lubi mnie, poco tak zezusza włosy z twarzy, kiedy wolałbym żeby były nasunięte trochę na policzki (poprawia delikatnie włosy Anny) o tak, lepiej, zaraz lepiej... Marzyłem całymi nocami o tobie i myślałem nieraz i w dzień...

ANNA:

Dlaczego mi nie powiedziałeś Janie, że cię interesuję, to by mnie tak uszczęśliwiło. Nie masz pojęcia, jak oczekiwałam jakiegoś dobrego słowa od ciebie...

JAN:

Nie pozwoliłem sobie na to Anno. Przecież wiesz, że ze mną nie można się wiązać... Jestem kimś, kto chwilowo z twojej łaski korzysta i ... odpoczywa w łóżkach. To może być każdej chwili przerwane...

ANNA:

(zarteśliwie) - Podpisujesz kontrakt na 3 lata, ani dnia krócej. Ładnieby łóżki wyglądały, gdybym rzuciłaś zmieniała co tydzień...

JAN:

(poważnie) - Nie powinnaś o tem mówić tak lekko. Wiesz, że nie mówię o łóżkach w tej chwili, ale o Tobie...

ANNA:

O mnie? - Cóż ja - Kocham Ciebie!

JAN:

Anno, ty jesteś rozsądna, przeczona, mądra. Wobec takiej na świecie kobiety nie miałbym takich skrupułów... Cóż prostszego i cudniejszego, jak kochać ciebie, ale ty będziesz żakowała...

ANNA:

JAN:

(patrzy z miłością na Janę i przeczy głową) Powinieneś wziąć cię w ramiona i milość, może każde słowo więcej jest głupstwem, grzechem... Ale Anno, ja myślę... jeszcze potrafię... myśleć... resztką spokoju za ciebie Anno. (znieś głon) Chcesz mieć roman z włóczęgą, z własnym rządem?

- ANNA: (szczęśliwa, bierze jego głowę w ręce i rozśmieszona mówi mu prosto w oczy)
- Dlaczego z rzadką? Będę miała romans z własnym mężem!
- JAN: (przerazony) - Chcesz mnie poślubić?
- ANNA: Jeśli mnie kochasz, to nie widzę powodu, dla którego nie miałabym tego uczynić...
- JAN: Nie widzisz powodów, bo ich nie znasz. Nie chcę cię dłużej męczyć Anno... Przysięgam ci, że kocham cię, jak nigdy dotąd nie kochałem i przysięgam ci, że są wielkie powody, dla których nie mogę zostać twoim mężem. Odejść stąd... Nie zatrzymuj mnie kochana... Pozwól być mi wolnym... To mój obowiązek.
- ANNA: (wstaje i stanowczo)
- O, nie znasz mnie Janie, jeśli myślisz, że tak ode mnie odejdziesz. Jestem dość silna, żeby walczyć z Twoimi urojeniami, a jeśli naprawdę potrzebna z prawdziwym niebezpieczeństwem. (poważnie) Pomówmy spokojnie...
- JAN: To bezcelowe Anno. Nie mogę zostać twoim mężem?
- ANNA: Odejdiesz jeśli chcesz tego, ale najpierw powiedz mi dlaczego odchodzisz. Nie myśl, że pozwolę zżerać życie nam obojgu... Tak i tobie, wiem że i tobie, bo gdzie ty stąd pójdiesz? co będziesz robił? (zakłamuje się) Pocałuj się powiadziałam, że cię kocham. Byłoby mi ciężko, ale zostalibyś...
- JAN: Teraz to niemożliwe, oboje wiemy o naszych uczuciach. Ja już nie potrafiłbym milczeć, musiałbym mówić, mówić...
- ANNA: (niepewnie) - Masz żonę?
- JAN: (milozy, przyciska głowę)
- ANNA: Obowiązki? Drugi?
- JAN: Nie!
- ANNA: Zostawiłeś tam gdzieś pracę, którą musisz dokończyć, gdzieś czekają na Ciebie?
- JAN: Teraz już nikt na mnie nie czeka.
- ANNA: (z rozpaczą) - Powiedz mi, nie mogę dłużej...
- JAN: Nie rozkłamaj mnie, nie chcę powieść i nie powiem. Jeśli mnie kochasz pozwól

mi miłozed. (zmęczony) Po co chcesz wiedzieć,
aby mnie przestać kochać?

ANNA:

Czy myślisz, że można tak odrazu przestać
kochać...

JAN:

Można, można. Nie powiem ci... Wolę odejść
z twoją miłością, z twoim szacunkiem. Nie
chcę widzieć, jak mnie potępiasz, znienawi-
dzisz, a może nawet oddasz w ręce policji...

(przerwany tym co powiedział)

ANNA:

Coś ty powiedział? Policja? Ciebie policja
szuka? Coś ty zrobił? Czego oni chcą od ciebie?

JAN:

Anno, nie, nie... nie potępiaj mnie... Nie
jestem zwykłym przestępcą... Nie odpychaj
mnie...

ANNA:

Biedny mój Janie... (patrzy mu w oczy) Ty
masz takie jasne, dobre oczy. Nie wierzę,
że ty mogłeś coś złego zrobić... Ty przecież
nie mogłeś... Powiedz... to nie ty...
prawda?

JAN:

Anno, błagam ciebie, nie pytaj się już o nie...
(krzyczy) Nie pytaj się o nie więcej... Ja nie
mogę ci powiedzieć...

ANNA:

Chcę cię wyswobodzić... To urojenie...
Patrz, przecież od tylu tygodni nikt cię
nie szukał, nikt śledził, pomyśl o tym...

JAN:

Masz mnie na wariata... O nie, to nie mania,
prześladownia. Mówisz, że nie śledzą mnie,
tak jeszcze nie... ale w każdej chwili mogą
mnie tutaj odnaleźć...

ANNA:

(pograżona w rozpacz. Milczy.)

P a u z a

JAN:

(zmęczony) Nie mówy już o tym, i tak prawie
wiesz już wszystko... Zapomnij na chwilę o tym
i na jedną chwilę niech między nami będzie
dobrze i serdecznie... (podchodzi i obejmuje
Annę)... na ostatnie blisko i szczęśliwie
(poufale i gorąco)... Tyle nocy nie spałem
Anno przez ciebie i od tych wszystkich myśli
męczących... Pozwól mi, nim odjadę, usnąć
choć raz przy sobie... Byłabym taka dobra dla
mnie... (przytula ją) taka dobra... bądź nią

jeszcze przez jedną noc... (znużony) Tak
chciałbym usnąć, chciałem na chwilę spokojnie...

ANNA:

(przy pierwszych zdaniach przylega tkliwie
do Jana, potem wyrwa się zaniemieniona)
Nie. Daj mi. Teraz nie. Przecież jutro
nie odjedziesz... Daj mi trochę czasu... Nie
mogę dzisiaj...

JAN:

(patrzy na nią gwałtownie, wypuszcza ją
z ramion i z goryczą)
To tak mnie kochasz? Wystarczy, że wiem, żeby
mnie nieawidział... (nachyla się i groźnie)
Boisz się mnie?

ANNA:

(cofa się wtył, niepewna, nieśmiała)
Nie... nie... nie...

JAN:

(półprzymknięty, krzyczy)
Ja kobiet nie zabijam...

ANNA:

(przerażona, potem z furją)
- Kobiet nie? Co, kobiet nie? Tylko mężczyzn
zabijasz! Ilu? dwóch, trzech, ilu zabijeś?
Ty... ty...!

JAN:

(szepczony, zdekonspirowany, rozbity, bezsilny,
przejmującym szeptem)
- J e d n e g o ...!

ANNA:

- Kogo?

JAN:

Dyrektora fabryki w Krzewaniu...

ANNA:

A a a ... to ty, ty go zabijeś?

JAN:

Musieliśmy! (gorąco) Ale to nie było zwykłe
morderstwo... Zabijem go bo był okrutny...

ANNA:

Osądziłeś go sam?

JAN:

Osądzili go inni... Ja podjąłem się wykonania
wyroku...

ANNA:

Nigdy przewina nie jest dość wielka, aby za
nią wolno było odebrać człowiekowi życie...

JAN:

(ciężko, z wachaniem)
- Nie myśl, że mi to łatwo przyszło. Latami
pisałem petycję do Centrali zagranicznej...
Biegałem o odwołanie go z Polski... Oh,
ty nie wiesz Anno co to był za straszny
człowiek... Byliśmy do dnia umorzenia jego
okrutnością...

ANNA:

Gdybyś był wierzył w sprawiedliwość tu na ziemi i czekał... Przecież w dniu morderstwa właśnie przyszło polecenie odwołania... Zabijeś go zbyt szybko...

JAN:

(zaskania sobie uszy rękami)

- Nie chcę tego słyszeć. Ta myśl prześladowa mnie... Ciągłe słyszę: zabijeś niepotrzebnie człowieka... zabijeś.... I to temi rękoma...

ANNA:

(opada na fotel. Zrozpaczona, zaskania twarz)

JAN:

(zgorączkowany) Od trzech lat pracowałem w fabryce... Poza pracą techniczną, byłem łącznikiem między robotnikami a dyrekcją... Na skutek okropnych warunków pracy, lichych dniówek wybuchały nieustannie zatargi, strajki... Sąd pracy zawalony był skargami na dyrekcję. Trzeba było w Zarządzie wyblagiwać o litość, a robotników uspakajać. Dyrektor von Wihler wyrzucał na złamanie karku każdego niezadowolonego... Za błahе przewinienia sypały się grzywny... To było piekło... Wihler był nacjonalistą, nas Polaków nienawidził... O, mnie się bał... Miałem posłuch wśród robotników... Ale oni, ci biedacy zapracowani, sponiewierani jego nienawiścią, stłamszeni złymi warunkami pracy, we mnie mieli tylko powiernika i obrońcę... Męczyli się cierpliwie... patrzyłem na to przez całe trzy lata... Aż wreszcie przebrała się miarka... Wihler wyrzucił z fabryki kobietę za to, że nie przyszła w dniu pogrzebu swego jedynego dziecka do pracy. Kobięcina była ogłupiała z rozpaczy, siedziała na cmentarzu nad małym grobkiem cały dzień... Następnego ranka nie dopuszczono jej do pracy... Byłem sam na świecie i nie lubiłem swego życia... Było ono mniej warte niż spokój trzystu ludzi i postanowiłem...

W dzień zabójstwa napiłem się parę kieliszków wódki, ale nerwy zwyciężyły działanie alkoholu... Byłem trzeźwy i precyzyjny... O wiadomą mi godzinie przyjazdu Wihlera do biura, stanąłem przy dyrekcyjnej bramie. Ulicą jechały samochody, ruch był duży i piękne jesiennie słońce

grzało. Drobiazgi przykuwały moją uwagę: chudy, sapiący koń dorożkarski przystanął przed sąsiednią bramą, pośladkowałem go... a o tym nie pomyślałem nawet.... Ciepło słoneca, naprzeciwko mnie stał policjant i przyglądał mi się przyjaźnie... Słońce, świeciło... Było tak gorąco, jak latem... słońce... (przeciera ręką czoło, zmęczony, jakby nie wiedział co mówić dalej)... czekaj, zaraz, teraz już musisz wiedzieć wszystko, jak skończę na obudziły Martę, Vincentego, każemy jechać po policję, niech już mnie raz złapią, niech to się już skończy... (zakłamał się)

ANNA:

(siedzi z twarzą utopioną w dłoniach. Przy ostatnich słowach Jana zapłakała krótko)

JAN:

(ocuczony jej szlochem)

- Zajeżdżała duża, piękna limuzyna. Wysiadł z niej elegancki von Wiehler. W rękę trzymał filcowy kapelusz, zdjął go widocznie jeszcze w aucie... Szofer zatrzymał za nim drzwi-ki a von Wiehler zaczął wchodzić po schodach. Ja za nim. Sukno na marmurze było ozerczone, miękkie. Szliśmy obaj cicho. Tylko że ja go widziałem, a on mnie nie. Popatrzyłem na jego plecy w szarej marynarce pod lewą łopatką robiła mu się niewielka zmarszczka. Zawsze dotąd widziałem go zaciętrzewionego w rozmowie ze mną, teraz widocznie był w doskonałym humorze, bo po schodach szedł lekko i wesoło... Wreszcie uświadomiłem sobie, że to jest ten, którego postanowiłem zabić... Włożyłem rękę do kieszeni, namacałem browning. Powisiołem już był od trzech sekund strzelić, zanim Wiehler dojdzie do drugiego zakrętu... Ułamki sekund uciekały. Musiałem błyskawicznie wybierać: albo jego śmierć, albo mękę trzystu ludzi... Strzeliłem szybko, pięć razy. Upadł nogami do góry, na stopnie schodów. Leżąc patrzył szeroko otwartymi oczami przed siebie. Spojrzałem za jego wzrokiem: w górze drżały od straszów krzyśtały luksusowego pajaka.

Patrzę na drętwiejące ciało pojętem, że naj-
większym dobrem na świecie, jest życie...
Boże, jakże je wtedy kochałem, kiedy z każdą
sekundą stawałem się bliższy stryczka...
Poczułem ucisk... Ulicami, bramami, przez
klatki schodowe, dachy, ogrody, pola...
Gnałem przed siebie godzinami, dniami...
Zdala od linii kolejowych, traktów, szos,
ścieżek. Do ludzi wyciągał mnie tylko głód...
W lesie zakopałem palto, kapelusz, ubranie...
Przebrałem się w inne, lichsze, kupione na
wiejskim targu. I znów uciskałem...
Wszystko we mnie było strachem, a potem kiedy
w lasach nie czułem pościgu za sobą, poczułem
wracać świadomość. Świadomość była gorzka
jeszcze od strachu. Myśl, że ja niby
człowieka... Ooooo... to straszne...

(ślada znużony, pauza)

Aż wreszcie przyszedł ty Anno. Podnieśliś
mnie, nauczyłeś znów. Chcieć życia...

(spogląda na Annę, która siedzi nieporu-
szona z twarzą ukrytą)

Milczysz. Widzisz, teraz kiedy już wiem, sta-
ło się tak jak myślałem. Wienawidzisz mnie,
pogardzasz...

ANNA: (odejmuje ręce od twarzy. Bardzo poważnie
i wolno)

- Rozumiesz swoją rolę, Janie...

JAN: Oszadź mnie Anno, pomóż mi! Przestałem być
normalnym człowiekiem. Nic mi nie jest oszczę-
dzone...

ANNA: Pogwałciłś sprawiedliwe prawo życia...

JAN: Chcę jakoś jeszcze żyć...

P a u z a

ANNA: (wstaje, podchodzi do Jana)

- Pomogę ci! (kładzie mu rękę na ramieniu)
Ostrząśnij się... Na tanto nie już nie pora-
dziny...

(poczyna chodzić po pokoju, jakby coś obmyś-
lała, wreszcie przystaje przed Janem i
energicznie)

Tu trzeba radzić Janie. Najpierw usunąć nie-

bezpieczeństwo grożące ci z zewnątrz.
Paszport masz nie własny...?

JAN: Nie, kolegi...

ANNA: Nikt ciebie tu nie zna. Zerwiemy ze wszyst-
kimi.... albo nie, to niedobrze, mogłoby się
wydać podejrzaną, że nagle zmieniamy tryb
życia... Nie nie trzeba zmieniać...

JAN: Nie nie trzeba zmieniać, co to znaczy Anno?

ANNA: (stoi blisko Jana. On siedzi. Anna gładzi
go po włosach)

Biedaku, a ty myślałeś, że ja ciobie teraz
opuszczę?

JAN: (wtula się w nią)

- Ty dobra...(ożywiony) Wiesz, same to, że
ci powiedziałem ulżyło... Powiedziałem...
Więc jednak w człowieku istnieje potrzeba
spowiedzi... A tyś mnie rozgrzeszyła Anno...
zdjęłaś ze mnie trochę ciężaru... Ty mnie
ratujesz... O błogosławione, litościwe serce
kobiety...

ANNA: (macierzyńsko) - Teraz już ciebo... teraz
spokojnie, teraz tylko mądrze... Czekać,
pomyślimy trzeźwo... (zamyśla się)

JAN: (milczy, wpatrzony w Annę, jakby od niej
spodziewał się cudu).

ANNA: Gdyby udało się zdobyć świadków, to przywie-
złam ciobie jeszcze przed pierwszym, powiedzmy
pierwszego października...

JAN: Tanto stało się drugiego...

ANNA: Wiem. Pamiętam. Ty tu przyjechałeś piętnastego,
a więc kwestia dwóch tygodni, i już miałbyś
alibi...

JAN: Skądże weźmiesz świadków...

ANNA: Nie wiem jeszcze... może pieniędzmi... Marcie
zawsze się daty kręci, z nią łatwo byłoby...
ale Wójcik, inni... żeby Wincenty... czekać,
teraz trudno to od razu tak obmyśleć, ale plan
wydaje mi się dobry.

JAN: To kruche alibi...

ANNA: Kruche dla warszawskiej policji, ale tutajsz
posterunek zadawali si ę ten, póki nie ma
specjalnych instrukcyj co do ciebie.

JAN: (wpatrzony w Annę z podziwem)

- Jak ty to wszystko potrafisz...

ANNA: Słub nasz odbędzie się zaraz po Nowym Roku,
chleby bez rozgłosu... (pogodniej) Za parę
lat, ślady prowadzące do ciebie zarosną
trawą.

JAN: A więc ty trwasz w swoim postanowieniu, chcesz
mnie zatrzymać przy sobie i myślisz, że teraz
właśnie ja się na to zgadzę. Teraz kiedy wiem
jako ty jesteś i czym się stałeś dla mnie...
Nie, Anno, nie chcę doczekać się chwili, kiedy
mnie potępisz. Widzisz, mimo swojej dobroci,
nie możesz odwrócić pewnych nieumyślnych praw.
Dzisiaj - kocham człowieka ścisłego, osu-
szonego, kogoś nad kim litujesz się... Teraz
cierpiez razem ze mną, chcesz mnie obronić...
ale pomyśl, kiedy niebezpieczeństwo mnie i ja
przestaniemy być tropionym zwierzęciem, wszystko
co teraz rozpala twoje serce - odpadnie.
Spójrzysz na mnie wtedy zwykłym, spokojnym
warokiem i zobaczysz tylko zabójcę, który
uniknął kary... Będę już wtedy otoczony
sznuunkiem, syty, spokojny, będę miał wszystko
to, co mi się już od świata nie należy...

ANNA: Nie wiem co będzie za parę lat i nie chcę
wiedzieć. Poco sięgać tak daleko, do okrytych,
ciężkich możliwości, kiedy białą chwilą,
jest taka trudna... Myślmy, co teraz...

JAN: A jednak Anno, musimy myśleć o przyszłości.
Ona może nie jest tak daleko, może być już
chwilą następną... Przecież to ci przeszkodzi
być ze mną...

ANNA: (młodzi, spogląda pytające na Jana)

(poważnie)

Ludziom nie po twojej śmierci... Teraz tylko
sprawiedliwość domaga się ciebie i... ja...
jej... poraz pierwszy nie pomogę...

JAN: Wszystko ci będę zawdzięczał - Anno. Muszę być samą wdzięcznością, niczym - tylko wdzięcznością... Bo co ja mogę ci wręczyć za te wszystko... Nie wiem jaki będę... Nie umiem być już normalny... I widział rzeczy, takimi, jakimi są...

ANNA: Nie rozumiesz, że ja tego nie robię tylko dla ciebie. Przecież to egoizm miłości. Ratując cię - ciębie uszczęśliwiam...

JAN: (w zamyśleniu)

- Tak... może... niektóre kobiety potrafią tak kochać... (rozmarzony) Wiem, marzyłem dawniej, jako chłopiec o kobiecie, któraby poświęciła dla mnie wszystko: wysokie stanowisko, bogactwa, klejnoty, pałac i tylko ze mną chciała uciec i zamieszkać daleko od ludzi... Wiałem wtedy trzynasty rok... Ot, dziecięce dążenia...

ANNA: (patrzy uważnie na Jana)

- Słuchaj Janie, a może ty wolałbyś uciec stąd, ja ci dopomogę. Mam trochę pieniędzy, na początek wystarczy. Obmyślimy wszystko mądrze, powinno się udać...

JAN: (najpierw zelektryzowany jej propozycją, potem zmęczony i jakby senny)

Nie, Anno... (całuje ją płaszczotliwie w rękę) Wolę z tobą zostać... Nie chcę... nie mogę już bez ciebie...

ANNA: Wiedziałam, że będziesz wolał zostać...

(obejmuje go)

JAN: (tuli się do niej) - Tak, Anno wolę wolę... z tobą... (sennie) ja lubię ciszę, pracę, samotność, spokój i - ciębie! Tęto było jakąś potworną omyłką...

ANNA: (kojąco) - Nie myśl już o tym, staraj się zapomnieć. Nawet myślę nie budź przeszłości... Oszukamy wszystkich, cały świat, żebyś tylko ty miał spokój...

JAN: (napół sennie, rozmarzony)

- Oszukamy wszystkich, cały świat, żebyś tylko ja miał spokój... A sprawiedliwość, czy też zdołamy oszukać?... (skłania głowę na jej

ANNA: + Cichoooo --- cichoooo --- nie mów, nie
myśl, ja wszystkiemu zaradzę, wszystko zrobię,
gdyby ci coś miało grozić. Ty mój kochany,

(mówi kojąco, jak do dziecka, głaszcząc go
delikatnie po włosach, czole, ramionach)

Cichoooo --- cichoooo --- najmilszy +---

JAN:

(j.w.) Szodka Anno... Najlepsza Anno, a
wiesz, ... Kiedy miałem trzynaście lat, ma-
rzyłem o kobiecie, która dla mnie porzuci
wszystko i zamieszka zdala od ludzi... To
marzenie spełniło się... Ty dla mnie poświę-
cając wszystko... Wiesz o tym...?

ANNA:

(głaszcząc go po głowie, którą trzyma na
kolanach, Jan pół siedzi u jej nóg i
nie widzi jej twarzy. Anna płacze
i potakuje głową)

JAN:

(j.w.) - Wydaje mi się, że wreszcie usnę
spokojnie... poraz pierwszy, dzisiaj, przy
tobie...

(podnosi się z kolan i nieśmiernie czule
i delikatnie podnosi ją z fotela ku sobie)

Pozwolisz?

(spogląda jej z miłością w oczy, potem
delikatnie tkliwie i miękko)

Już się mnie nie boisz, prawda?

ANNA:

(przeoczy głowę i patrzy na Jana oczami
pełnymi łez)

JAN:

(lekko pociąga ją w stronę lewych drzwi
za rękę i szepcze)-

- Chodź, chodź...

ANNA:

(Milczy. Idzie powoli za nim niechętnie
i ociera się. Kiedy Jan idąc pierwszy
ogada się za nią, ukrywa swoją niechęć
i wolno za nim idzie).

KONIEC AKTU II-go.

A K T I I I

Dekoracja ta sama co i w aktach poprzednich. Jest południe. Za oknami śnieg i słońce. Piękny styczniowy dzień. Na sekretarze i stoliku stoją doniczki hiacenty. Na kominku ogień. Na dużym stole stopy bielizny stołowej, pościelowej, osobistej. Nastrój wśród rzeczy wesóły. Na scenie Anna i Marta (Anna ubrana pogodnie, ładnie). Marta jest zajęta liczeniem i przeglądaniem bielizny, zakrzętała, rozgadała, widać że jest zadowolona z rychłego ślubu swojej pani. Anna radosna, ale od czasu do czasu zamyślona i roztergnięta. Marta stoi po prawej stronie sceny, liczy i układa w równe stosy bieliznę.

- MARTA: Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem, osiem, dziewięć, dziesięć, jedenaście, dwanaście... Dwanaście prześcieradeł gładkich.
(spogląda na Annę przynaglając)
- ANNA: (roztergnięta, stoi z notecem w ręku i ołówkiem - bokiem do widowni zapatrzona w biel za oknami, powtarza mechanicznie)
Dwanaście prześcieradeł gładkich...
- MARTA: (nieśmiało) - Pani dziedziczko - trzeba zapisać, bo potem nie dojdziemy do końca. Bluzowa miała odesłać jeszcze dwanaście na kołdry, a są tylko gładkie...
- ANNA: Pewnie nie zdążyła jeszcze...
- MARTA: Czego nie zdążyła, obrębić i obszyć nicianką.
- Wielka robota!
- ANNA: Marta zapomina, że ona ma nie tylko te prześcieradła, ale i inną masę bielizny... Właściwie nie wiem, naco mi tyle tego... Ale czy Marta dała sobie wyperswadować...
- MARTA: Jakże można inaczej. Ślub za tydzień i wyprawa nie byłaby gotowa. Pani dziedziczka musi mieć piękną wyprawę, stosownie do siebie...
- ANNA: Tak Marta chciała, więc niech się sama o wszystko kłopotuje. Mnie się o tem nie chce myśleć teraz...

MARTA: Kłopotuje się też, kłopotuje, ledwie podołam.
Bo to i bielizna stołowa i pościelowa i osobista i suknie i kołdry. Nie wiadomo kogo pilnować. A jak nie dopilnuję, to i na czas nie będzie. Bo też pani dziedziczka tak na ostatnią chwilę to wszystko zostawiła...

ANNA: (poważnie, jakby do siebie)
- Tak to jeszcze wszystko do ostatniej chwili nie wiadomo...

MARTA: Co nie było wiadome? My w kuchni i w arendnej wiedzieliśmy co święci się u nas we dworze... (ucieszona) A bo też ten nasz wielmożny rządca to każdego za serce chwyci. Taki przystępny, nie nie dumny. Wie pani dziedziczka, że dzieciaki we wsi to żałują za nim, jak to psiki. (radośnie) - Tak go lubią?

ANNA:
MARTA: Co to lubią, kochają wielmożnego pana rządę. Coprawda, że nosi on zawsze pełne kieszenie przysmaków i niby to nie widzi gromady za sobą, niby to z nimi nie gada, a łakociami obdaruje i niejednego usmarkańca po policzkach wyściaska...

ANNA: Kocha tak dzieci widocznie.

MARTA: Dobry jest - ot co... Nieraz to do mnie rano przychodził i mówił, a nie ma pani Marta co słodkiego, jakich cukierków? Po Bożym Narodzeniu to było tego w śpiżarni, to wybiegał całe garście orzechów, jabłek, różnych tam... Dziwiliam się, że taki łakomy, ale nie śmiałam powiedzieć pani dziedzience, a potem zobaczyłam, że on to dla dzieciaków ze wsi zabiera i rozdaje....

ANNA: A to dopiero, rozpaskudzi pocziwleć wszystkich smarkaczy...

MARTA: A jak każdego usmarkuje. Do mnie to zawsze pani Marta - mówi. Raz tylko... powiedział mi (zażenowana i rozczulona) "dziedobry Martusiu" i schwytał mnie za ramię, tak serdecznie, że aż mi kości jęły...

ANNA: Był czymś wzruszony.

- MARTA: Pewnie tak. To było zaraz po Niepokalanym Poczęciu Najświętszej Marii Panny. Rano byłem na Mszy świętej, a na drugi dzień on mnie uściskał...
- ANNA: Zaręczyliśmy się tego dnia...
- MARTA: Ale silny, co też za siłacz... (nagle podchodzi do Anny, całuje ją w rękę i nieśmiało patrząc Annie w oczy): Ja przepraszam, że się ośmielałem - proszę pani, dziewcziszki... ale ja nie mogę... patrzeć, że pani dziewcziszka tak często płacze... Nie trzeba płakać... Będzie wszystko dobrze... A że pan taki nerwowy czasami to przejdzie... nie trzeba płakać...
- ANNA: (gładzi Martę po ramieniu) - Cóż robić Marto, czasami muszę popłakać.... nieraz ciężko bardzo...
- MARTA: Ja nieraz słyszę, że wielmożny pan krzyczy, ale widziałam, jak potem przeprasza panią dziewcziszkę, po rękach całuje... Nie trzeba się na niego gniewać...
- ANNA: Może masz rację Marto... Nie trzeba. (po pauzie) No, bierzmy się do roboty, już późno...
- MARTA: (wraca do stołu, porządkuje drugi stos bielizny, cicho liczy i ogląda z zadowoleniem poszewkę)
- Ale Blumowa pięknie powszywała wstawki, ale ... to nie to co dawniej ręcznie... Dwanaście poszewek... Zapisała pani dziewcziszka...?
- ANNA: (notuje w notesie) - Dwanaście poszewek...
- MARTA: A jak pani dziewcziszka jeszcze spała, przychodziła pani nauczycielka.
- ANNA: Czego chciała?
- MARTA: W odwiedzinach przyszła.
- ANNA: Tak wcześniej?
- MARTA: No była już chyba i z 10-ta....
- ANNA: (lekko zasmucona) - Ach tak. Teraz tak długo śpiam...
- MARTA: Powiedziała, że przyjdzie po obiedzie...

- ANNA: Ooh, szkoda, nie chcę nikogo obcego widzieć. Sadnych odwiedzin... (po namyśle) Zresztą nie, mogłaby się obrazić. Jak przyjdzie, poproszę ją do salonu...
- MARTA: I jeszcze tu jakiegoś byli...
- ANNA: Kto?
- MARTA: (lekceważąco) - A był wójt i policjant...
- ANNA: (przestraszona, opanowuje się) ... i policjant? Czego chcieli?
- MARTA: (j.w.) - O jakieś zeznania im chodziło. Pytali, czy kto tu z obcych do nas nie przybył. Ja im powiedziałam, że tu nikogo takiego niema. W domu jest pani dziedziczka, my służyłyśmy po parę lat i wielmożny pan rzędcą...
- ANNA: Co pan rzędcą...?
- MARTA: No właśnie powiedziałam mu, że wielmożny pan rzędcą też już nie nowy u nas, od 1 października mieszka, meldowany, a jakże, sama paszport do pana wójta nosiłam i nikogo więcej we dworze nie mamy. Oni się jeszcze pytali, czy kto się nie ukrywa... To ja im powiedziałam, że ja nie wiem, może się ukrywa, niech szukają sami... A pan wójt to jeszcze Wincentego pytał, czy napewno pan rzędcą jest u nas od 1 października. A Wincenty na imię Boskie się zaklął i powiada, że akurat ordynarię mu wtedy na 1-go pan Wójcik wydzielił i zaraz potem pani dziedziczka z nowym panem rzędcą w mieście zgodzonym przyjechała. Ja im też przyświadczyłam, bo pamiętam, że zimno było tego dnia i pani dziedziczka do mnie powiedziała: "popatrz Marto, dopiero 1-szy październik, a już tak zimno". Pamiętam dobrze...
- ANNA: (w czasie gadaniny Marty doszła do równowagi) -Więcej o nie nie pytali?
- MARTA: Wróć tu jeszcze. Powiedzieli, że przyjdą w południe. Mają pytać pani dziedziczki i wielmożnego pana rzędcę...

- ANNA: Przyjdę tu. (patrzy na zegarek) Wpół do dwun-
12-0j, a więc za pół godziny.
- MARTA: Będziemy liczyć dalej, pani dziedziczko? Bo
potem nie będzie czasu... Pani dziedziczka je-
dzie dzisiaj do miasta?
- ANNA: (lekko się śmia) - Nie, nie wiem jeszcze,
może...
- MARTA: (podbiega do Anny i z lekkiem) - Pani się
śle czuje, tak pani zbladła?
- ANNA: (chce się opanować) - Nie, już dobrze się
czuję, nie mi nie jest. Czy widać co po mnie?
- MARTA: Może wody trochę do napicia przynieść?
- ANNA: Dziękuję, już mi dobrze... To chwilowe...
- MARTA: (wraca do bielizy. Znow liczy)
- Osiemnaście jaśków? Dlaczego nie dwanaście,
albo dwadzieścia cztery? Ile to miało być
właściwie tych jaśków?
- ANNA: (przechadza się po pokoju, myśli, nie zwraca
uwagi na Martę)
- JAN: (wchodzi)-(ubrany elegancko, sportowo. Wygląda
bardzo przystojnie, wytwornie. Wchodzi i roz-
gląda się po pokoju.)
- A coś tu za białe góry? (pokazuje na bieliznę)
Nacół to tego tyle?
- ANNA: Nie wiem. Tradycja.
- JAN: I tyś się jej dała uwieść?
- ANNA: Właściwie to raczej Marta...
- MARTA: (rozjaśniona, patrzy serdecznie na oboje)
- ANNA: Na teraz już dość Marta.
- MARTA: Pojdę teraz zobaczyć, jak też pannie Kwiatkow-
skiej idzie szycie ślubnej sukni. (z prośbą).
A niech pani dziedziczka wolną chwilą zajrzy,
ile też to powinno być tych jaśków, bo jest
osiemnaście... (wychodzi)
- JAN: (obejmuje czule Annę ramieniem. Anna opiera
twarz na jego pierś, poczem mocno przytula
go do siebie)
- Co kochana moja? Zmęczona jesteś? Po co to
niemądre przygotowania? Czy nie lepiej byłoby
dla nas być przez te dni w ciszy, razem ze
sobą, tylko dla siebie... (całuje ją lekko
we włosy i przytula do siebie).

- ANNA: (rozpaczliwie obejmuje go za szyję)
- JAN: Co ci jest? Co się stało? (usiłując spojrzeć w jej twarz)
- ANNA: Byli tu.
- JAN: Eto?
- ANNA: Wójt i policjant. Chcieli ze mną mówić. Spałam jeszcze. Marta nie chciała mnie budzić. Wypytywali słuźbę.
- JAN: O co?
- ANNA: O ciebie. Od kiedy tu jesteś.
- JAN: I co oni im nagadali?
- ANNA: Wprost niedowiary. Wyobraź sobie, że Wincenty przysięgał im, że ty jesteś w Łąkach od 1-go października, że przyjechałeś zgodzony przez mnie w mieście, jako nowy rządcą na miejsce Wójcika... Marta naturalnie przytwierdziła, bo, co Wincenty mówi, to święte... Nie mam pojęcia, jak to się stało...
- JAN: Ty go opłacałaś?
- ANNA: Nie! Przedewszystkim nie zrobiłabym tego bez porozumienia z tobą, a powtóre przecież urządziliśmy działac tylko w razie koniecznej potrzeby. Obawialiśmy się niepotrzebnie nie wzbudzać podejrzeń...
- JAN: (zamyśla się) - To dziwne — dlaczego więc Wincenty...
- ANNA: Może im naprawdę tak się pokręciło... Przecież dzień twojego przyjazdu nie był dla nich ważnym w wydarzeniem (z uniesieniem) ... To tylko dla nas różnica tych kilkunastu dni jest kwestią życia, życia... (wybuch płaczu) Janie, niech to się raz już skończy... ten potworny niepokój o ciebie... To się nie może stać... nie może... (nagle uspokaja się całą siłą i spogląda z lekkim na Jana) Pro prostu nienawidzę swoich nerwów... lada drobnotka rozstraja mnie. Głupie przeczułenie... (wyjmuje fiakonik z kieszeni i łyka pastylkę)
- JAN: (patrzy na nią z śalem) - Co ty tam zgadzasz?

ANNA: (Pogodnie) - To na nerwy, chcesz spróbować?
(podaje mu lekarstwo)

JAN: Nie, dziękuję. Nie pomaga mi już.

ANNA: Nie gniewasz się za mój nagły wybuch. Czasami nie potrafię opanować się... mimo, że się staram...

JAN: Nie usprawiedliwiaj się... Myślę, że można kogoś unicestwić swoją dobrocią. Ty to robisz ze mną. Zburzyłem twój spokój, zmarnowałem twoją cichą egzystencję, zatruliem ci mózg nierozwiązanymi problemami i ty jeszcze przeproszasz mnie... To ja powinienem błagać ciebie o przebaczenie za tą mękę, którą ci daję...

ANNA: (trochę niecierpliwie) - Gdybyś mógł opanować to w sobie - Janie - siłą woli. Nie myśl ciągle kim ty jesteś, co mi dajesz, nie mów o tym... Pomyśl szczerze i głęboko o mnie, nie przez swoje sprawy, ale tylko o mnie...

JAN: Właśnie tego nie umiem. Nie umiem patrzeć na sprawy i ludzi wokół mnie inaczej, jak przez świadomość mego czynu. Rozumiesz to? Ty nie jesteś dla mnie dobrą tylko... Przez porównanie ze mną staje się prawie świętą... Sprawy proste, codzienne wydają mi się każdej chwili ostateczne, że wystarczy, że przyjdą po mnie i więcej do nich nie wrócę. Ten dom nie jest miłym, cichym dworem - a jedyną kryjówką moją... Wszystko tam nazewnątrz wydaje mi się zatopione w powodzi. Za tymi oknami nie ma świata, tam jest mój koniec... Wszystko zmienia znaczenie, proporcje, wartości... To obłąd Anne... obłąd...

ANNA: (zmordowana) Już nie mów Janie... nie mam siły... jeśli poczuwasz się do jakiegś wdzięku ności dla mnie - przedstaw... Czy nie rozumiesz, że ja to wszystko przeżywam razem z tobą, że się boję tak samo, jak ty. Nie cierpię, pokutuję...

JAN: (ponuro) - Powinienem się zabić...

ANNA: A jeśli cię nie wytropią, to może będziemy mogli być szczęśliwi...

- JAN: Szczęśliwi... Z takim, jak ja...
- ANNA: (nagle, jakby odnalazła jakąś radę)
- O, Janie, ty jednak nie znasz ludzi. Myślisz, że tylko ty masz swoje ciemne tajemnice. Przecież każdy człowiek ma swoje grzechy, które ukrywa przed ludźmi. Pomyśl tylko, gdyby tak nagle dowiedział się o niektórych wszystkich, wszystkich — o myśle, że twoja wina wydała-by się małą, odpokutowaną — Pomyśl o tych sercach okrutnych, sumieniach bez skrupułów — o tych wszystkich ludziach w maskach dobroci, żyłości, szlachetności — A myślisz, że i ja nie mam swoich przewin...?
- JAN: (wstał, westchnął głęboko, podszedł do okna i zapatrzył się w śnieg. Zapalił papierosa. przy ostatnich słowach Anny wzruszył ramionami)
Co ty tam za winy możesz mieć Anno... Ot tam takie drobnostki, do jakich życie zmusza każdego...
- ANNA: Myślę, że łatwiej ci było, gdybym i ja miała swoje tajemnice. Niedobre tajemnice....
- JAN: Łatwiej? Może i łatwiej. Wtedy nie mogłabyś mnie pogardzać, byłabyś mi może równiejsza, bliższa...
- ANNA: (rozmarzona) — Bliższa, jeszcze bliższa. Szkoda Janie, że nie mam ciężkich wielkich grzechów, powiedziałabym je tobie, mam jednak przed tobą jedną tajemnicę, może wyda się tobie ona małoważna, ale jeśli zdokamnię ją w twoich oczach poniżyć, to powiem ci ją...
(zawahała się)
- JAN: (stoi bokiem do widowni, patrzy za okna, na śnieg)
- ANNA: ...tak... powiem ci to, nie będzie to wiele, ale i ty będziesz miał mi coś do przebaczenia... Wiesz o mnie już chyba wszystko i to także, jak głęboko i serdecznie pokochałam ciebie prawie zaraz, w pierwszych dniach i jak bałam powiedzieć ci o tym. To były dziecięce, tchórzliwe nastroje, wtedy jednak jeszcze ważne dla mnie. Rozstrajaka mnie to, że nie zwracałeś na mnie żadnej uwagi... a ja tak

bardzo potrzebowałam twojej bliskości, słów, ciepła... Czułam się wtedy taka samotna. Te dni potrafiłam się jeszcze jakoś opanować, ale nocami płakałam z bezsilnej rozpacz... z osamotnienia... Żalu... Jednej nocy nie mogłam usnąć. Męczyłam się... Wreszcie wyszłam z domu... było chłodno... wálgotno... Ciągłe wysłania, że powinnam powiedzieć, jak ciebie kocham i ciągle nie mogła sobie wyobrazić twojej twarzy, kiedy ci to powiem...

JAN: (odwrócił się, podszedł do Anny wolno i pieszczotliwie pogładził ją po włosach)

ANNA: Bez wydawało mi się, że się rozgniewasz, że znów, że zbędiesz żartem, nigdy nie przypuszczałam...

JAN: (stoi nad nią i spogląda w oczy z melancholijnym uśmiechem)

Nie przypuszczałam, że ciebie kocham...

ANNA: Hie! Tamtej nocy wydawało mi się to jeszcze bardziej niemożliwe... Byłam taka sama... Zapragnęłam jakiegóś ciepła, ciepła. Niechby chociaż zwierzęta... Poszedłam do stajni... podchodzę...

JAN: (trochę żartobliwie) - Ciągłe nie słyszę tego gwaru Anno, opowiadasz tak dokładnie.

ANNA: Czekał... wysłuchaj... wszystkie te szczegóły są potrzebne, jeśli masz dobrze zrozumieć...

JAN: Opowiadaj kochana...

ANNA: Podchodzę do stajni i zobaczyłam światło w okienku...

JAN: W nocy?

ANNA: Tak. Dochodziła północ. Wchodzę... na murku okiennym stoi zapalona świeca, zatknięta w butelkę po wodce, a na ziemi w rozrzuconym śnie leży Wincenty... Piłany...

JAN: Grupie, nieostrożne chłopisko - mógł pożar zrobić. No i co?

ANNA: (na chwilę zapomina do czego dotyczyła, dalej energicznie)
- Właśnie, przestraszyłam się i chciałam zgasić świecę. Byłam wyczerpana bezsennością, płaczem, kręciło mi się w głowie... Wspięłam się na palce i zgasiłam świecę... Zrobiło się naraź

zupłynie ciemno... przez chwilę nie siedziałam, którądy mam iść do drzwi... Stapałam nie-
z pewnością pewnie i potrafiłam śpiącego Win-
centego... Musiał się obudzić... bo złapał
mnie za nogę...

JAN:

Wincenty?

ANNA:

Mo tak, był pijany - nie wiedział co robi.
Wzrotał jakieś babacie imię. Chciałam się
wyrwać mu, nie puszczał. Ciągnął mnie do
siebie. Było ciemno. Od szamotania zaczęłam
tracić przytomność. Wreszcie opór we mnie
malał. Poczuliem się taka zbyteczna i obca
wszystkiemu nazewnątrz i wydało mi się, że
tylko konie rżące przyjaźnie rażą się mnie
i ten chłop ciskający mnie do siebie...
Wszystko mi wtedy było jedno kto, aby ktoś
żywy, gorący był przy mnie... Pomyślałam
o tobie - byłś i blisko i daleko przez
chwilę... a potem odwróciłam głowę, żeby
nie poczuć woni wódki i ... przestałam się
bronić...

JAN:

(Najpierw zdumiony, potem patrzy z napię-
tą uwagą, odchylił się nieco do tyłu)
Tyś to dla mnie wymyśliła... tę ohydę...
przestań... to potworne...

ANNA:

Ależ Janie, to prawda... Sama się temu teraz
dziwię, że to się mogło stać, a jednak stało
się... Kochałam cię wtedy jeszcze mocniej,
postanowiłam, że ci powiem, jak tęsknię...

JAN:

(złamię) - Kiedy to się stało...?

ANNA:

Pamiętasz tę noc, kiedy przyszłam w koszuli
i w futrze z zapaloną latarnią? Pracowałam.
Byłam zdenerwowana, roztrzęsiona, a potem
powiedzieliśmy sobie wszystko... Byliśmy tacy
szczęśliwi... pamiętasz?

JAN:

(zmieniony z zaciśniętymi ustami ze słym
wyrazem twarzy uderza Annę mocno w twarz)

ANNA:

(cofa się parę kroków w tył, nieprzytomna
prawie, dotyka ręką uderzonego policzka)

P a u z a

- Co? Co ty... Ja chciałam.... myślałam....

- JAN: I ja z ciebie zrobiłem wtedy swego sądzięgo... z ciebie...! Spowiednika!... wtedy... A ty słuchałaś mojej męki, odmieliłaś się słuchać i ... rozgrzeszyłaś Ty! (po pauzie)
A potem byłaś ze mną całą noc, naszą pierwszą noc... Zgodziłaś się...
- ANNA: Nie chciałam wtedy... Janie... prosiłam... Zrozum, to niemożliwe, żebyś nie mógł zrozumieć tego potwornego zbiegu okoliczności...
- JAN: Przestań! Nie tłumacz się! Pamiętaj, opierałaś się! Resztki etyki... Tak wprost z objęć parobka w objęcia ukochanego... a ja... ja... myślałem, że ty się mnie boisz (z bolesną ironią) mnie, mordercy, że nie chcesz ze mną, bo myślisz o moich grzechach, że je w sobie rozważasz... A ty po prostu nie chciałaś, bo już był tamten z tobą... tego wieczoru... Takaś ty marna... pożądliva... taka czysta...
- ANNA: Musisz zrozumieć, że ja dotąd nigdy, nigdy, nigdy tylko wtedy...
- JAN: Nie przerywaj - teraz ja powiem twoje... Przejrzałem ciebie... Cała twoja dobroć, wspaniałomyślność, poświęcenie... To dla twego ciała, dla twoich zmysłów, dla dogodzenia im... Tylko potem schylałaś się do mnie... Teraz już rozumiem, wszystko jest w tobie pożądlivością, niczym więcej, niczym... Kiedy nie nagiąłem się do twoich żądań - dla moich, ważnych powodów - nie mogłaś dłużej czekać, wzięłaś sobie - ot, prostego chłopca, bo młody, świeży, ładny! (pauza). - Takiej kobiety nawet ja nie chcę za żonę, słyszysz - nie chcę! Nie zatrzymasz mnie swoimi pieniędzmi, ani swoją miłością... Puść mnie stąd, jeszcze dziś wyjadę...
- ANNA: (rozgoryczona, nawpół do siebie)
- A ja czekałam rozgrzeszenia. —
- JAN: Co? takiego jak ty mnie dukać! Tobie ono łatwo przyszło: rozgrzeszyłaś mnie, żeby móc grzeszyć ze mną... I ty śmiesz porównywać moją spowiedź, moją mękę - z tą twoją brudną... Idź, niech księża ciebie rozgrzeszą, oni

muszę, ja nie potrafię...

ANNA: Przestań...! Będiesz żałował każdego słowa, które teraz tak lekko na mnie rzucasz. Jak się uspokoisz, pomówimy... (chce wstać)

JAN: Nie mamy na co czekać, ja jestem spokojny, zupełnie spokojny. Wiem co mówię i powtórzę to za godzinę, za miesiąc - za rok...

ANNA: Tak? Mówisz to spokojnie i tak myślisz o mnie. A więc dowiedz się, że i ja już dłużej z tobą nie mogę! Ty się nie nadajesz już do normalnego życia... Wybaczasz ci... to wszystko... bo rozumiem, że... nie ma dla ciebie miejsca między... zdrowymi...

(ostatnie słowa wyczerpały ją, zapada w jakiś namysł, obojętność)

(P a u z a)

JAN: (patrzy na nią uważnie, zaczyna być znużony, gniew mija, jakby pożałował Anny)

- Anno!

ANNA: (przejmującym szeptem)

Z a m o r d o w a ł e ś !

(słychać kroki, głosy)

JAN: (nadsłuchuje) - Cccichooooo --- cichoooo!

ANNA: (kończy, podaje zwięźleniem)

- Wszystko już we mnie zamordowałeś ...

JAN: (nie słyszy jej słów, wzdychany w rozmowę i kroki nazewnątrz, niespokojny)

MARTA: (wchodzi) - Przyszli, proszę pani dziadulczki.

JAN: Kto przyszedł?

MARTA: Wójt i policjant.

JAN: (patrzy z napięciem na Annę, potem spokojnie)
- Poproś tych panów.

(wchodzi wójt i policjant)

Policjant salutuje.

WÓJT: (kłania się) - Dobrze popołudnie wielmożnemu państwu.

ANNA: (kłania się lekko)

JAN: (cicho i spokojnie) - Dzieńdobry panom.

- WOJT: Przepraszam wielmożną panią dziedziczkę, że nachodzę w taką porę, ale my po służbie tutaj przyszlim...
- POLICJANT: Mam polecenie przeszukania okolicy, czy gdzie nie ukrywa się zbiegły w pierwszych dniach października z Warszawy i posądzony o zabójstwo...
- WOJT: Właśnie o zabójstwo! My tu więc chodzim i zeznania podpisane zbieramy co do każdego. Porządek musi być.
- POLICJANT: (podchodzi do stołu)
- Państwo pozwolą... (odsuwa nieco bieliznę i rozkłada swoje papiery)... Jak wykazują książki meldunkowe z nowych ludzi do Łek przybył tylko pan rzadca...
- WOJT: (przepraszająco) - Pan rzadca wyrozumie, to tylko dla porządku...
- POLICJANT: Pan od którego tutaj jest w Łekach?
- JAN: (podchodzi wolno do stołu, potem spokojnie i chętnie)
- Od 1-go października.
- POLICJANT: (do Anny) - Zameldowany 17-go października?!

p a u z a

- JAN: To moje niedbalstwo. Nie wiedziałem czy pani dziedziczka zechce mnie zatrzymać na stałe. Nie wiedziałem czy warto będzie się meldować.
- POLICJANT: Meldowanie się to obowiązek proszę pana, z tego teraz mogą być duże przykrości dla pana...
- JAN: To trudno. Teraz już nie na to nie poradzę.
- POLICJANT: Proszę, pan będzie łaskaw wpisać tu swoje imię i nazwisko, daty przyjazdu, skąd pan przyjechał i podpisać się na tym formularzu. Przedtem poproszę o paszport.
- JAN: (wyjmuje powoli paszport z tylnej kieszeni, podaje go spokojnie policjantowi i zaczyna wypełniać druk).
- POLICJANT: (bierze paszport, przegląda go długo i uważnie, potem coś notuje w swoim notesie i oddaje paszport Janowi
- Dziękuję!
(bierze od Jana druk, przegląda i kładzie na stole, potem uprzejmie)

POLICJANT: Państwo pozwólcie, że usiądę...

~~KKJKK~~JAN: Bardzo prosimy. Trudno panu przecież pisać stojąc.

POLICJANT: (siada) - Poproszę teraz kolejno o zeznania...

JAN: Kogo pan sobie życzy?

POLICJANT: Gospodynię pani dziedziczki, pana Wincentego i samą panią dziedziczkę.

JAN: (naciska dzwonek)

POLICJANT: Poproszę najpierw panią dziedziczkę. (mruczy i pisze) imię i nazwisko... zamieszkała w Łękach, wdowa... tak... Zeznanie sporządzone w dniu 9 stycznia roku 1938-go... tak...

MARTA: (wchodzi) - Słucham.

JAN: Proszę zawołać Wincentego i samą przyjść tutaj także...

MARTA: Słucham wielmożnego pana. (wychodzi)

POLICJANT: (do Anny) Czy potwierdza pani zeznania tu obecnego pana rzędcy, który twierdzi, że przebywa w Łękach od dnia 1 października roku ubiegłego?

(JAN patrzy z wysiłkiem na Annę, nie jest pewny jej odpowiedzi)

ANNA: (otrząsa się z apatii, spogląda uważnie na Jana, potem podchodzi do stołu i poważnie)

Tak, potwierdzam!

POLICJANT: (zadowolony) - Doskonale. Teraz proszę o podpis --- o tutaj --- (wskazuje miejsce na formularzu)

(ANNA podpisuje się)

(Wchodzi WINCENTY i MARTA)

JAN: (w chwili, kiedy Anna popatrzyła na niego przed daniem odpowiedzi opuścił głowę, jakby pod ciem, zwłoczony od niepewności. W momencie - kiedy Anna potwierdziła jego zeznanie, opuścił głowę jeszcze niżej, odwrócił się i idzie ku drzwom)

POLICJANT: (spojrzał za nim) - Pan będzie łaskaw jeszcze chwileczkę poczekać tutaj. Teraz to już tylko formalność.

(JAN zatrzymał się blisko lewych drzwi,
jakby zaraz chciał być gotów do odejścia)

POLICJANT: Zeznania gospodyni Marty Wieczorek i Wincen-
tego Majewskiego słyszałem dzisiaj rano, teraz
proszę tylko o podpisanie, się imieniem
i nazwiskiem.

WINCENTY: (podechodzi do stołu, rad, uśmiechnięty pa-
trzy na Annę potem na Jana)
- Pod prawdą to się człowiek chętnie podpisze.
(pisze)

(potem kłania się wszystkim, osobno Annie)
Mogę już odejść?

WOJT: To się rozumie. Jak podpisane - to znaczy
koniec.

(Wincenty wychodzi)

MARTA: (podechodzi do stołu zażenowana)
- Ja proszę pana posterunkowego nie umiem
pisać...

POLICJANT: (wesoło) - No to wal pani trzy krzyżyki za
to coś pani rano mówiła - o tu -
(Marta pisze)

POLECJANT: (patrzy na pisaćą Martę) - Pięknie, równo,
jak na nagrobkach. No i dobrze.

(Marta jeszcze bardziej zażenowana cofa
się do drzwi i staje)

POLICJANT: (zbiera papiery, k wstaje i salutuje)
- Bardzo przepraszam państwa za smarras, ale
służba... (od drzwi) A na przyszłość proszę
się zaraz meldować, bo inaczej grayna...
(wychodzi)

WOJT: (kłania się) - Niech będzie pochwalony
Jezus Chrystus...
(wychodzi, MARTA za nim)

P a u z a

ANNA: (młczy, bezradnie, zmęczona)
JAN: (z ulgą) - Pozzli. (spogląda na Annę)
... I znów mnie uratowałaś...
ANNA: (spogląda na Jana, młczy)
JAN: Wiesz, że teraz naraziłaś siebie bardzo
na szkodę?

(ANNA potakuje głową)

- JAN: Dlaczego to zrobić?
- ANNA: To był mój obowiązek.
- JAN: (rozczarowany) - Obowiązek...
- ANNA: (stanowczo, poważnie) - Tak, obowiązek. Czego właściwie możesz spodziewać się jeszcze po mnie...?
- JAN: (odechyła głowę do tyłu, rozmarzony) Wszystko...
- ANNA: (zmęczona) - Nie mam już na nie siły.
- JAN: Ty nie masz siły? Ty? A ja? Co ja powinienem powiedzieć? (szybko) Przecież rozumiesz, że jeśli oni przyszedli tu, to i wrócą.. Już mnie wytropili, znaleźli... a jeśli wrócą? Skąd ja mam wziąć siły... Ty zostaniesz tu... przebolejesz... a ja? a ja?
- ANNA: (bez ruchu, kamienna) - Już nie wiem. To wydaje mi się bez wyjścia.
- JAN: Widzisz... A ludziska mnie, że wszystko się uda, że wszystko będzie dobrze, a tymczasem... Anno ratuj mnie, nie opuszczaj, ja muszę stąd uciec, ja muszę znów zacząć uciekać...
- ANNA: Uciekaj więc...
- JAN: (patrzy na nią bezradnie)
- ANNA: (otrząsa się) - Tak. Muszę ci pomóc. Dam ci pieniądze, wszystkie, jakie mam w domu, jak ci zabraknie pisz. Poślę ci, ile będziesz potrzebował - o to się nie martw - Może uda mi się sprzedać coś ze srebra, potem kawałek ziemi...
- JAN: (z wdzięcznością) - Dziękuję ci.
- ANNA: Dokąd pojedziesz?
- JAN: W stronę granicy.
- ANNA: Uda ci się?
- JAN: Wiesz jak to jest... I na to nie ma rady...
- ANNA: Pociąg masz o 6-ej z minutami. Zdektysz się zapakować i przygotować do drogi.
- JAN: (patrzy roztkliwiony na Annę, podchodzi do niej i bierze ją za obie ręce) Ciężko ci?

ANNA: Tobie ciężko. Mimo, że przed tobą świat -
a ja tu sama...

JAN: Przyjedziesz do mnie?

ANNA: Nie Janie. Po co?

JAN: Może jednak udałoby się jeszcze wszystko
naprawić...

ANNA: Myślę, że już nie udałoby się. (po pauzie)
No, czas Janie, do kolei masz przeszło dwie
godziny kody...

JAN: A więc z nami koniec, Anno?

(ANNA milczy, opuszcza głowę)

MARTA: (wpada) - Proszę pani dziedziczki, panna
Kwiatkowska bardzo prosi, żeby pani dzie-
dziczka przyszła do niej, bo ona nie wie,
czy pasek przy ślubnej sukni zrobić taki
sam, jak kołnierzyk, czy perłowy?

ANNA: (z wysiłkiem udaje doskonale spokój)
- Niech Marta powie pannie Kwiatkowskiej, że
przyjdę do niej za chwilę i proszę powie-
dziedź Wincentemu, żeby zaraz konie zakładał,
odwiezie pana rządów na popołudniowy pociąg...
A pasek niech panna Kwiatkowska zrobi perło-
wy, taki jak suknia...

MARTA: Słucham pani dziedziczki. (wychodzi)

JAN: (złośliwie) - Podziwiam twoją przytomność
umysłu...

ANNA: (z bolesnym spokojem) - Czy nawet tego nie
jesteś w stanie zrozumieć, że nie chcę robić
popłochu we dworze, aby ci nie odejść spokoj-
nej ucieczki? I czy nie domyślasz się, ile
mnie w tej chwili kosztuje ten spokój?

(wstaje, przechodzi obok Jana, patrzy na
niego ze smutkiem poczem podchodzi do se-
kretary, rozkwiera kluczykiem jedną
z szufladek, wyjmując kilka banknotów, li-
czy je i podaje Janowi)

Teraz musisz się pośpieszyć....

(JAN po sekundzie wahania bierze pieniądze, chowa je
do kieszeni, patrzy z wdzięcznością na Annę, potem
spogląda na zegarek i wychodzi w lewo)

(szukawilixdrzwianilixpranajwchodzilixWincenty...)

(Po chwili drzwiami z prawej wchodzi WINCENTY. Ma jakąś niepewną minę. Staje niedaleko drzwi. W rękę trzyma jakiś drobny przedmiot, który od czasu do czasu z lubością go ogląda)

P a u z a

- ANNA: (zamyślona. Jęszcze przy sekretarzu. Po chwili spostrzeża WINCENTEGO i sucho)
- Wincenty chciał czego?
- WINCENTY: (wolno i niepewnie) - Ja proszę pani dziadzi, chciałem spytać... bo to była u mnie Marta... żeby kupić zaraz konie zakładać. Na stację maszyniarzy pan rzadca jechać...
- ANNA: (ostro) - No to co z tego? Więc Wincenty pojedzie...
- WINCENTY: A bo ja proszę pani dziadzi, lewy kary trochę kuloje, do stacji przeszedł 20 kilometrów, szkoda konia... kazałem Staszewi oba siwe zakładać... Wyśląłem...
- ANNA: (niecierpliwiona) - No więc niech idą siwe... Co się właściwie Wincentemu stało, pierwszy rok jest Wincenty u mnie, czy co, że z takimi głupstwami do mnie przychodzi. Stajnia pełna koni, a Wincenty głowę mi zawraca. Proszę robić, jak kazałem... (odwraca się z nienacką)
- WINCENTY: (jakby rozmarzony) - A właśnie, stajnia pełna koni, właśnie...
- ANNA: (z pod oka spogląda na Wincentego, jakby go badała)
- WINCENTY: A ja coś pani dziadzi, znalazłem i przyniosłem, bo budze pali mi ręce...
- ANNA: Co Wincenty znalazł? Proszę go pokazać i oddać...
- WINCENTY: (pokazuje na rozwarłej dłoni medalion z urwanym łańcuszkiem, uśmiecha się filuternie)
To pani dziadzi, prawda?
- ANNA: (zdziwiona i ucieszona) - Mój medalion! Gdzie go Wincenty znalazł?
- WINCENTY: (zamyka w pięść prawą dłoń z medalionem i palcem lewej wskazuje) - Tutaj - Tu!

ANNA: Nie rozumiem.

WINCENTY: (tajemniczo, znacząco, nie bez humoru)
- Pani dziedziczka wie, że pijany to niezawsze
jest nieprzytomny...

ANNA: (z początku nie wie o co chodzi wreszcie
zrozumiała)

- Aaaaaa.....!

WINCENTY: Pamiętaj pani dziedziczka?

ANNA: (odważnie) - Pamiętam. No i co z tego, że
pamiętam?

WINCENTY: (zbity z tropu)

- A no nic... Zerkaję tote pani dziedziczo
z szyl... Myślałem...

ANNA: He co?

WINCENTY: (tajemniczo po pauzie)

- He my razem na siebie ciężki grzech wzięliśmy...

ANNA: O czym Wincenty mówi?

WINCENTY: A co my o panu rządcy policjantowi nabajali?

ANNA: Wincenty kłamka? Dlaczego?

WINCENTY: A bo to śle pana rządcego i panią dziedziczkę
w garści trzymać? O, ja wiem jak to dobrze.
Pan Wójcik siedem lat orał mną, jak wołem, bo
jak kiedyś koniom trochę obroku podebrałem
i on mnie na tym przyłapał, miał profit z tego
przez całe siedem lat. Czego nie chciał kto
zrobić, czy wódki nocą z miasta przywieść, czy
tam co takie, to Wincenty musiał, Wincenty
słuchał, bo pan Wójcik zaraz na skargę do pani
dziedziczki miał iść. A teraz myślę, że i na
mnie kolej przyszała. Ja odrazu wymiarkowałem,
że pan rządca ma nieczyste sumienie. Za dobry
dla ludzi, za delikatny... Nie wiem tylko co
i jak... A jak dzisiaj rano policjant mnie
pyta czy to prawda, że wielmożny pan rządca
jest w łękach od 1-go października, myślę
sobie, o tu cię boli. Pamiętaj, jak przyjechał,
był 15-ty, a nie 1-y i jeśli mówi, że pierwsze-
go to mu na tym zależy i trzeba mu w tym do-
pomóc, a potem tylko przypomnieć i co łaska
poprosić na podtrzymanie kryzysowej biedy.

Wiadomo, że Marta słucha mnie, więc z nią nie było nijakiego kłopotu i myślę sobie, że teraz już wszystko dobrze będzie, a tu pan rzędcą wyjeżdża i sprawę trzeba prędko kończyć...

ANNA: (przestraszona, spogląda na Wincentego)

WINCENTY: Niech się wielmożna pani dziedziczka nie boi, nie, ja takiej dobrej pani świstwa nijakiego nie zrobię, bo i za co? (uspokajająco). Medalion pani dziedziczce po dobroci oddam, pana rzędcęgo spokojniutko na kolej odwiezę, walizki do wagonu włożę, a jakże, niech sobie jedzie, dobry był pan, nie trza go krzywdzić, ale... pani dziedziczka sama wyrozumie, że los wygrany trudno tak do wody rzucić...

ANNA: Skowem ile? Ile Wincenty chce za milczenie?

WINCENTY: Oj nie tak pani dziedziczko, nie tak... Po dobroci, ja w złości nie nie wezmę od pani dziedziczki. Pani dziedziczka rozumie, że jakby ja w złości chciał być, to bym do złego jakiego mógł się przyczynić, ale ja nie chcę i nawet jakby pani dziedziczka nicby mi nie dała, to i tak to oddam... (oddaje medalion) bo to inna, moja tylko sprawa...

ANNA: (ujęta tą srogią, gentlemenerią)

(bierze medalion i już łagodniej)

Tak. Wincenty ma rację, to jest inna sprawa. A panu rzędcy to Wincenty naprawdę dopomógł i należy mu się za to nagroda.

WINCENTY: (całuje ją w rękę z szacunkiem)

- Prawdziwa pani z wielmożnej pani dziedziczki: harda i sprawiedliwa!

ANNA: (uśmiecha się) - Będę pamiętała o nagrodzie dla was... możecie być spokojni.

WINCENTY: Serdecznie dziękuję wielmożnej pani dziedziczce i bardzo przepraszam za moją śmiałość.

(wychodzi)

(ANNA sama - przechadza się po pokoju. Kiedy jest blisko sceny z prawej strony od lewej w głębi wchodzi wolno JAN. W ręku mały noszeser. Ubranie to samo, sportowe, na nim krótkie futro, w ręku czapka podróż-

na. Wchodzi wolno)

ANNA: Już? Już jedziesz?

JAN: (podechodzi do Anny. Kładzie neseser na pobliskim krześle. Bierze ją za obie ręce, patrzy długo, smutno, tkliwie w jej oczy, po chwili wahania padają sobie w objęcia)

ANNA: (Zemwalająco obejmuje Jana. Całuje go szmatywnie w policzki, czoło, usta, oczy)

JAN: (Przytiska ją do siebie. Całuje jej obie ręce. Smutny, zrezygnowany, wreszcie siłą się od niej odrywa. Odwraca się, bierze neseser i wolnym, cichym krokiem idzie w stronę drzwi. Po drodze nakłada czapkę. Ruchy zmęczone, powolne, lekko zgarbiony. Nie odwraca się. Nad klamką lekko zawahał się. Potem znika w drzwiach).

ANNA: (Sama - profilem do widowni spogląda ze smutkiem)

P a u z a

(Słychać odjazd bryczki - Anna stoi i słucha)

P a u z a

MARTA: (wbiega) - Ba Boga żywego co się tu stało? (spogląda na Annę i zaciąga. Podechodzi do Anny i wpatruje się) Co cię stało panu rzędcu? Widziałam, jak wsiadał na bryczkę, taki blady... Obiadu nie jadł... (przypatruje się badawczo Annie) Czy on już do nas nie wróci?

ANNA: Nie!

MARTA: A ślub pani dziedziczko?

ANNA: No jakże, bez pana młodego nie odbędzie się.

MARTA: A nie mogła to pani dziedziczka wielmożnego pana zatrzymać?

ANNA: (jakby do siebie) - Na nieby się to nie przydało... nie dziś... to za rok poszedłby stąd... Sprawiedliwość mocniejsza...

MARTA: Zawsze choć odpoczął sobie tutaj biedaczek...

ANNA: (jak echo) - Odpoczął...

MARTA: (zбира ze stołu stos bielizny, bierze go i wynosi)
- To ja to już pozabieram... Teraz tego nie potrzebne tutaj... (wychodzi)
ANNA: (na środku sceny) smutno) -
- Tylko odpocząć

KONIEC